

BIBLIOTEKA UTWORÓW DRAMATYCZNYCH

TOM
XVI

EWA

DRAMAT W CZTERECH AKTACH

napisała

ZOFIA WÓJCICKA



NAKŁADEM KSIĘGARNI HALTENBERGA WE LWOWIE

EWA

DRAMAT W CZTERECH AKTACH

EWA

DRAMAT W CZTERECH AKTACH

NAPISAŁA

ZOFIA WÓJCICKA



LWÓW

NAKŁADEM KSIĘGARNI H. ALTENBERGA

1905

OSOBY:

ANDRZEJ.

EWA, jego żona.

MAREK.

Matka.

JUSTYNA, służąca.



Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001017568362

AKT PIERWSZY.

Pracownia Andrzeja. Duży, widny, wesoły pokój z szerokim, weneckiem oknem. Z lewej stół, sofa, przed nią na ziemi duża, puszysta skóra z białego niedźwiedzia. Z prawej na podwyższeniu stalugi z rozpoczętym obrazem, odwróconym bokiem od widzów. W głębi drugie małe podium dla modela — wszędzie obrazy, szkice, drobiazgi, w wazonach szklanych pełno niedrogich kwiatów. Układała je ręka kobieca, która kocha piękno. Codzień tu widać gospodarować musi, wszędzie znać jej lekkie i ciche dotknięcie. W głębi pianino. W oknie niema firanek, słońce zagląda tu chętnie, bo miesza tu miłość i młodość. Ubogo, ale jasno i miło. Taki cichy i ciepły „dom“.

Popołudnie. Słońce jaskrawe trochę, bo już, już ma zachodzić. ANDRZEJ musi się spieszyć. Siedzi na podium przy stalugach i wykończy coś żywo z pamięci. Prawdziwy to mieszkaniec tego domu. Siła i dzielność biją od niego, a na młodem jego czole napisano: talent! Gdyby tylko nie był tak nerwowy. W ruchach, spojrzeniu, ubraniu. — Nie jest ono niedbale — ani też, broń Boże, niema w niem śladu owego „artystycznego zaniedbania“, właściwego niektórym malarzom. Przeciwnie, Andrzej jest próżny trochę. Taką małą, maleńką ociupinkę. Chciałby się podobać żonie, którą kocha nad życie. Maluje pilnie, ale korci go to.

że jej nie ma przy sobie. Spogląda więc ciągle ku drzwiom (z lewej z frontu) skąd słychać turkot jej maszyny.

SCENA I.

ANDRZEJ, zaraz EWA.

ANDRZEJ po chwili, podczas której malował pilnie, albo raczej nerwowo, jak zresztą robi wszystko.

Ewuś!... głośniej: Ewuś! spogląda znowu ku drzwiom z lewej.

EWA przestaje szyć, za sceną z lewej słychać głos jej czysty i słodki.

A co tam?

ANDRZEJ.

Co robisz?

EWA jak wyżej.

Szyję.

ANDRZEJ.

Aha! maluje. Chwila milczenia. Słychać znowu turkot maszyny. Po chwili: Ewuś!

EWA j. w.

Słucham!

ANDRZEJ.

E, bo mogłabyś przyjść tutaj. Niepodobna przecie rozmawiać w ten sposób. Przyjdź, Ewuś, mojaś ty!

EWA ukazuje się w drzwiach z koszulką w ręku. W pokoju od niej robi się jaśniej, tak promienne ma włosy, tak przejrzystą cerę. Jest wiotka i smukła — cicha. Na bladawej twarzy ciemnią się tylko duże, podkrążone trochę oczy, które mają osobną swoją wymowę i tem mówią wyraźniej, im usta milczą chętniej. Ubrana jest w jasną

domową sukienkę „reform“, ogromne, faliste włosy spięte nisko w piękny węzeł. To uczesanie i pewien cichy i słodki, ale stanowczy sposób mówienia nadają jej pozór dziwnej dystynkcyi mimo prostego i niewyszukanego ubrania. Uśmiech ma poważny trochę ale jasny, jak pieśczęta. —

Staje we drzwiach i mówi cicho.

Chciałeś czego?

ANDRZEJ *posyłając ku niej radosne, rozkochane spojrzenie.*

Nie. Ale chciałem cię mieć tu, blisko. Ewa uśmiecha się łagodnie. Andrzej zeskakuje z podium i przysuwa jej krzesło do okna, obejmuje ją i sadza. O tak, tu ci będzie dobrze. Widno — prawda? całuje ją gorąco O ty moje kochanie najmilsze.

EWA *broniąc się.*

Jędrus...

ANDRZEJ *ogłąda się na drzwi z lewej w głębi mimowoli.*

No już nie, nie. Idę pracować, idę. Wybiega szybko na podium i pracuje gorączkowo, spoglądając na nią od czasu do czasu z radością. Wiesz? taki czegoś rad jestem dzisiaj, że ci tego powiedzieć nie potrafię. Wiesz, jaki pyszny pomysł przyszedł mi do głowy, żeby cię sprowadzić tutaj. Prawda?

EWA *milczy i uśmiecha się do niego.*

ANDRZEJ.

No widzisz, że i tutaj żyć można, a i mnie się pracuje lepiej. Nie rozumiem doprawdy, dlaczego siedzisz zawsze tam sama.

EWA *cicho i spokojnie.*

Maszyna turkocze. Nie chcę ci przeszkadzać.

ANDRZEJ.

Ty, mnie?! Ależ słońce ty moje! zeskakuje z podium i biegnie do niej żywo.

EWĄ zasłania się koszulką i grozi mu palcem.
Jędrus! tak to pracujesz?

ANDRZEJ.

Idę już, idę! wyskakuje na podium, maluje znowu
Chwila ciszy. On maluje, ona szyje. Słońce zachodzi. Kilka skośnych, czerwonych promieni wpada przez okno na pochyloną głowę Ewy.

EWĄ po chw.

Malujesz bez modelu? A gdzież Różia?

ANDRZEJ.

Poszła już. Odprawiłem ją. I tak już wieczór. Pauza.
Nagle, spojrzawszy na nią: Rany Boskie!

EWĄ przełęczniona trochę.

Co takiego? Co się stało?

ANDRZEJ.

Cicho! nie ruszaj się! nie ruszaj się! Schył głowę, o tak, jak przed chwilą! Co za efekt! co za wspaniały efekt świetlny! Co za kolor! Nie, słowo daję, to się wściec można! rzuca pędzle. Spuść głowę, Ewka... jeszcze niżej! Niżej! Szeptem w zachwycie: Co za włosy... Jakże ty masz włosy Ewuś... To istny pożar... Takie włosy musiała mieć Salome... Porywa gorączkowo jakiś karton i ołówek Czeka... czekaj... nie ruszaj się... Albo nie... rozpuść włosy... Ten węzeł psuje cały kształt głowy... Ewa rozpuszcza włosy, które spływają na jej su-

knię i szyję rudawą, falującą kaskadą. To cały potop... cały potop włosów... Zdychać! Zdychać, słowo daję!... Rysuje gorączkowo, patrzy na nią. Nie, przechyli głowę w tył. Włosy ciężkie, muszą pociągnąć ją w tył. Ewa przechyla w tył głowę i opiera ją o poręcz krzesła. Patrz na mnie Ewuś... patrz na mnie... przygląda się jej i rysuje gorączkowo. Rysuje... wpatruje się w nią... stłumionym szeptem Jakaś ty piękna, Ewo moja... jakaś ty piękna... Głos drży mu namiętnością. Uśmiechnij się do mnie... tak, jak to ty potrafisz... Ewa uśmiecha się. O tak!... Rysuje szybkimi rzutami i pochłania ją wzrokiem. Wiesz? musisz mi tak pozować! W tej chwili błysnął mi wspaniały pomysł! Przymknij oczy! o tak! Namaluję cię, jako śpiącą Aryadnę. W ramionach Tezeusza ukołysana, rozkoszą jeszcze dysząca, od pocałunków jego rozchylone jeszcze i wilgotne mając usta, leży Aryadna na królewskim wezgłowie płomiennych swych włosów... Rysuje gorączkowo Widzę to już! widzę! ach! gdybym mógł namalować ten cud, oszalałbym chyba!... cichym szeptem Jeszcze Ewuś... Przymknij oczy... rozchyl usta... nie, nie tak, nie tak!... biegnie ku niej, chwytą ją w objęcia i całuje usta namiętnie. Tak! o tak, tak, jak teraz... Ewa próbuje się bronić, uśmiecha się sennie, obezwładniona namiętnością jego pieśczołami. O, ty moja cudna... Słońce ty moje... uśmiech twój pachnie i śpiewa i nęci, jak przepaść... włosy twoje dźwięczą, jak złoto... o te włosy twoje, te włosy... przesypuje rękami ciężką ich falę, tuląc w nich twarz i układając je dokoła niej w malowniczych falach Zrzuć ten szkaradny kołnierzyk, który mi zasłania tę konwaliową szyję... odpina jej i zdejmuję kołnierzyk... przygląda się jej z bliska, całując ją wzrokiem O, Ewo moja... Ewa patrzy nań z pod przymkniętych powiek długo, patrzą sobie w oczy, jakby przez nie duszę sobie wypić chcieli. Andrzej całuje jej usta, głowa jej opada na wesz-

głowie włosów z westchnieniem. Andrzej zrywa się. Tak! teraz! teraz! To jest właściwy wyraz! Czeka! Biegnie ku stalugom, rysuje gorączkowo. To będzie cud! zobaczysz, to będzie cud! Tylko się nie ruszaj! Tak! tak! co za przepych! co za przepych!... szepce, rysując. Potem przestaje rysować zupełnie, zapatrzony w nią pobożnie. Złożywszy ręce, patrzy w nią z nieopisaną tkliwością, poruszając ustami, jak gdyby szeptał modlitwę. Gdzieś zdaleka, z ulicy dolatują stłumione oddaleniem dźwięki organów. W pobliskim kościele odprawia się „majowe” nabożeństwo. Długa chwila pięknej, słodkiej, upajającej ciszy. Zdaje się, że w taką chwilę wszystko się w sercach ludzkich ucisza, dusze dzwonią tylko słodką ku Stwórcy wdzięcznością, jak sygnaturki, słońcu zachodzącemu na Anioł Pański dzwoniące.

ANDRZEJ *cichuteńko.*

Ewuś!...

EWA *t. s.*

Co?...

ANDRZEJ *t. s.*

Nie ruszaj się... Czy słyszysz ten poszept? Ewa kiwa głową, w rozmarzeniu. To słońce mówi ci dobrotnoc!... Znów długa chwila... Jak jaskółki swiergocą... Słońce zachodzi pomału. Dzień umiera... chwila... O, chwilo, o błogosławiona chwilo... Siedzą bez ruchu. Słońce zaszło zupełnie. Jak im dobrze, jak im dobrze — razem. Wtem drzwi otwierają się i wchodzi Matka. Jego Matka. Osoba to nie tak znów bardzo stara, dość tęga, z czerwoną od ognia twarzą i blademi, wpadniętymi oczyma. Gładko zaczesane włosy zaledwie gdzieś srebreną nitką przetkane, cała postać tchnie zdrowiem i czerstwością. Ubrana w niemodną, czarną pelerynę i kapelusz t. z. „wdowi” — kapotkę. W ręku ma książkę do nabożeństwa. Staje na środku pokoju i przygląda się im, za-

kładając na wyniosłym brzuszku ręce. Kręci głową, wreszcie wybucha karcącym, niezadowolonym głosem.

SCENA II.

ANDRZEJ. EWA. MATKA.

MATKA.

A to co znowu za komedye! *Ewa, za pierwszym dotknięciem jej głosu zrywa się zmięszana i z pośpiechem zbiera rozrzucone włosy. Jest! znowu! rozkładając ręce szeroko* Państwo znowu bawią się w poezye i figrygalki! A ty matko zamecz się, zaharuj na śmierć tymczasem! Co to szkodzi! byle tylko «państwo» mogli się pobawić!

ANDRZEJ

syknąwszy, machając ręką, jak ktoś, co się opędza od rzeczy tak częstej, że aż uprzykrzonej, stłumionym z gniewu głosem.

Dałaby mama raz pokój...

MATKA

przechodząc obok niego, jakby nań wcale nie zwracała uwagi, do Ewy.

Andrzejowi się zresztą nie dziwię... zawsze był waryat i waryatem już zostanie. Ale Ewcia! taka niby «rozsądna» osoba! Fe! nie wstyd to Ewci? I żebyście się to wczoraj pobrali! Ale komu to, komu! Matce dzieciom! Fe! powiadam, fe!

ANDRZEJ.

Ach, niechże mama da raz pokój. Malowałem ją...

MATKA.

Aha! Malowałeś! Po ciemku? Znam ja to twoje malowanie! A dużo też «namalowałeś»?

ANDRZEJ

chce coś powiedzieć, patrzy na Ewę, kiwa ręką i daje pokój. Składa farby i pędzle z westchnieniem.

MATKA *odwiązując wstążki od kapelusza pod brodą.*

Nie mogła to lepiej Ewcia iść ze mną na majowe nabożeństwo? A chciałam Ewcię zabrać z sobą — ale Ewcia mówiła, że szyć musi. Ładne szycie!... *Pauza, Ewa związuje nerwowo włosy. Andrzej świszcze przez zęby.*

MATKA *chowając kapelusz i okrycie do szafy.*

Mogłaby mi też Ewcia przyszyć szarfkę do kapelusza. O, już się na paru nitkach trzyma.

ANDRZEJ *zły, przez zęby.*

A mama mogłaby wyrzucić już raz ten stary wiecheć. Patrzyć na niego nie mogę.

MATKA.

O, mój kochany. Kapelusz wcale dobry jeszcze. Nie mam na inny. A zresztą czy to ja jaka dama? Każdy wie, że u ciebie na łasce siedzę.. Wy — to co innego — wy to jesteście państwo! *wyraz ten wymawia z przyciskiem, przysiadając i rozkładając szeroko ręce. Andrzej zżyma się.* Choć tam coprawda, i Ewcia mogła była jeszcze nosić ten zeszłoroczny. Wcale nie był taki znów zniszczony. Jak kto wyszedł za mąż za pana artystę *znów z przyciskiem i rozkładaniem rąk,* co niema co do gęby włożyć, to nie powinien myśleć o sobie zaraz Bóg wie co i stroić się, jak hrabina jaka. Ale to już widać we krwi. Matka Ewci także nad stan żyć lubiła i dlatego Ewcia teraz...

Mamo!

ANDRZEJ.

MATKA.

No, no, już milczę. Czemuż mi zaraz gębę zamykasz? Czyżem powiedziała co złego? Albo może nieprawda, co, żeś wziął Ewcię w jednej koszuli? *Ewa składa robotę gorączkowo, usiłując zapanować nad sobą.* Zresztą, to przecież nie żaden wstyd. I tak Ewcia jest i była damą, a ja sobie jestem prosta kobieta *prostując się z dumą* wdowa po urzędniku, *z naciskiem* tylko po urzędniku, nie po żadnym artyście *czyścąc i składając pelerynę starannie.* Mój nieboszczyk był to sobie cichy, skromny, porządny człowiek, ale nie byłby mi nigdy pozwolił latać samej po ulicach w kapeluszu na trzy piętra.

ANDRZEJ.

Mówilem już mamie tyle razy...

MATKA.

No no, milczę już, milczę! W tym domu już mi nawet ust otworzyć nie wolno! Wiem, wiem, nie potrzebujesz mi przypominać, że tu nie mam żadnego głosu, że jestem u was na łasce...

ANDRZEJ

chodzi nerwowo po pokoju i świszcze przez zęby, czekając, rychło Matka pójdzie sobie.

MATKA *mruczy, zamknąwszy szafę i drepcząc to tu, to tam, niby sprzątając.*

Kto matki uszanować nie potrafi, ten nie będzie miał błogosławieństwa Boskiego — oj, nae! Ale to wszystko teraz takie... Do kościoła iść, to niema czasu, ale niechnoby ją kto chciał wiaść do teatru albo na koncert, piętyby gubiła, a leciałaby... Oj, źle, mówię wam, źle żyjecie... Bez Boga żyjecie! *Podnosząc palec*

w górę Ale to wam mówię, nie będzie nigdy szczęścia w waszym domu!... Żle! To wam mówię ja, matka! Żle, oj, źle! mrucząc i wzdychając, wychodzi.

SCENA III.

ANDRZEJ EWA.

Oboje zmrożeni. Ewa siedzi smutna, opuściwszy na kolana bezczynne ręce, Andrzej chodzi nerwowo po pokoju, skubiąc wąsy. — Długa chwila przygnębienia.

ANDRZEJ *mruczy przez zęby.*

Psiakrew z takim życiem!

EWA *łagodnie.*

Andrzeju!

ANDRZEJ *stając, gwałtownie.*

A bo mam już tego wszystkiego póty! *pokazuje gardło. — Chodzi.*

EWA.

Nie unoś-że się!

ANDRZEJ *rozdrażniony ogromnie.*

Przecież milczałem! Przecież cały czas milczałem, jak trusia! Język zawsze kołkiem stawiam, wargi do krwi gryzę, żeby tylko nie wybuchnąć!

EWA.

No mój złoty, uspokój się! *podchodzi do niego, kładąc mu rękę na ramieniu* Staraj się nie słuchać.

ANDRZEJ.

Kiedy ty nie wiesz, co się ze mną wtedy dzieje!... Ja... ja sam nie wiem, co by się stało, żeby nie ty.. Mnie wtedy krew zalewa oczy i mózg, ja sam nie wiem, co robię. Jabym — jabym poprostu... *biega po*

pokoju, chcąc się uspokoić. I to jest życie... I to się nazywa życie...

EWA przechodzi ku sofie i siada na niej z westchnieniem.

ANDRZEJ zalamując ręce gwałtownym ruchem.

I com ja zrobił takiego, że mnie Pan Bóg skarał tą kobietą!... Żyliśmy tak cicho, tak cudownie we dwoje, aż tu naraz spada na mnie nagle ta... ta zaraza!

EWA.

Jędre... to twoja matka!

ANDRZEJ.

Ach! wiem, wiem... Matka, matka... Czwarte przykazanie... Znam, znam! błogosławieństwo matki buduje domy dzieci... co?... Ale dla mnie to nie matka, to... to zaraza, to zmora, to cień na moim domu, to śmierć dla duszy! I za co! i za co?! *biega po pokoju.*

EWA.

Andrzeju, kiedy ty we wszystkim taki gwałtowny jesteś — taki dziecinny... Tak łatwo z jednego nastroju wpadasz w drugi... No chodź, siadaj tu, przy mnie, uspokój się.

ANDRZEJ.

...Matka... matka... Wiem... wiem, obowiązek..., Lube słówko... kochane słówko... Przecież jej przez okno nie wyrzucę... Trzymam w domu... jeść daję... szanuję... haha! szanuję! *Nagle stając, zaciekle* Tylko niech mi domu nie psuje! Tylko niech mi tego mojego domu nie psuje!! Ojcu go nie umiała dać — a teraz, kiedym ja sobie stworzył swój, swój własny — ona miałaby... o! wara! *oddycha ciężko.*

EWA.

Andrzeju!

ANDRZEJ.

Ach... żebyś ty wiedziała, co się nieraz we mnie burzy... co się we mnie budzi takiego... Jabym... jabym zdławił, zdusił! jabym... ot tak! *rzuca krzesłem o ziemię z pasją.*

EWA

patrzy nań poważnym, smutnym prawie wzrokiem.

ANDRZEJ

stoi chwilę, oddychając ciężko i patrząc na złamane krzesło. Za chwilę podnosi głowę, odgarnia włosy z czoła, patrzy na nią.

Po chw. podnosi stółek, zawstydzony, stoi nad nim bezradnie. Po chw. miękko, spoglądając ku niej nieśmiało. Ewuś...

EWA

wyciąga do niego ręce, jak do dziecka, które coś zbroiło, a któremu się przebacza.

ANDRZEJ *rzuca się do tych rąk i całuje je tkliwie, gorąco.*

Ewuś, Ewuś ty moja... Przepraszam... *całuje znowu po wiele razy. Zawsze parobek ze mnie... Wybacz mi... Cham jestem... Ale, kiedy widzisz, krew się we mnie cała burzy... Ewa zasłania mu usta ręką. No już nic, już nic... siada obok niej i obejmuje ją, zaglądając w oczy. Ale kiedy widzisz, ja... ja nie mogę znieść, kiedy ona wygaduje na ciebie!*

EWA

E... takie tam niewinne gderanie... Przecież ja sobie nie z tego nie robię...

ANDRZEJ *znów gwałtownie.*

Ale ja nie chcę! Nie pozwolę i już! Dałem ci słowo, więc zęby zaciskam i milczę, ale powiadam ci, nie zniosę tego i już!

EWA.

No, cicho już, cicho! *Zamyka mu usta swojemi.* Ty gwałtowniku niepoprawny! ty smoku! ty brzydki Karakulo! co polyka ludzi żywcem! *Andrzej tuli głowę do jej rąk, Ewa, głaszcząc go po głowie* I kiedyż to ja utemperuję tę szaloną łepetynę? I to wszystko dlatego tylko, aby żonę martwić! *Nachyla się nad nim* Wiesz, że żona nie może znieść scen i krzyków... Że jej się wtedy serce tak ściska... *Kładzie twarz swoją na jego głowie.*

ANDRZEJ.

Przestraszyłem ptaszynę moją najmilszą... *Osuwa się do jej nóg i całuje je.* Przepraszam... przepraszam... *Wzruszony kładzie głowę na jej stopach.*

EWA *zmieszana, śmiejąc się, patrzy ku drzwiom z obawą.*

Jędre... co robisz... Jędre! dajże pokój! *Andrzej siada na skórze niedźwiedziej u jej nóg i kładzie głowę na jej kolanach.* Jędre! Jeszcze mama wejdzie!

ANDRZEJ *miętko.*

Nie, nie... pozwól mi tak pozostać, jak dawniej... jak dawniej zawsze... Pamiętasz?

EWA *baniając się jego włosami.*

Widzisz, ty to wszystko bierzesz za tragicznie... We wszystkim za gwałtowny jesteś... Matka biedna, stara kobieta. Z innego świata, innych pojęć... Dziwić się jej nie można... Wybaczyć trzeba. Psuje dom... psuje dom... Mój Boże... Czy cokolwiek jest w stanie zepsuć nasz dom... rzucić cień na nasze szczęście... na naszą miłość... *uśmiecha się, pewna siebie i patrzy przed siebie, radosna, choć cicha.* Jest w niej jakaś przedziwna, cicha i skupiona moc, co się rozlewa dokoła niej, jak

światło z lampy. Moc potężnej, skupionej, nieogarnionej miłości. Chwila ciszy — zmrok zapada.

EWA

po chwili, cicho, z pewnym namysłem i jakby trudem, jak ktoś małomówny, co raz chce wydobyć z siebie prawdziwy wyraz na samego siebie...

Widzisz... na nasze szczęście nie może rzucić cienia nic, co jest zewnątrz nas... *Patrzy przed siebie, jakby w siebie zajrzeć chciała.* Rozumiesz? *Andrzej, nie zmieniając pozycji, obejmuje ją mocno.* Nas nic rozdzielić nie może... Dlatego nie powinienesz sobie z tego robić tyle... Wszak tamto jest po za nami... Tylko gdyby w nas... gdyby w samych nas zaszło coś takiego... wiesz... toby nas tylko rozdzielić mogło... Ale to przecież niemożliwe... *prawda?... patrzą sobie prosto w oczy z uśmiechem pewnego siebie, tryumfującego szczęścia.* Teraz *Andrzej milczy i wzdycha głęboko, wyrównując się wewnętrznie.*

ANDRZEJ szeptem.

Ty moja... *Patrzą sobie mocno w oczy i trzymają się w silnym uścisku. Chwilę mocnej, radosnej ciszy.*

ANDRZEJ *podnosi głowę, bierze jej głowę w obie dłonie i patrzy jej w oczy głęboko.*

Ewuś... *p. ch.* Kochasz?

EWA *nie mówi nic, patrzy mu tylko w oczy.*

ANDRZEJ.

Tak, w tobie jest moc... to prawda... Twoje oczy mówią takie rzeczy, że się od nich ucisza w człowieku wszystko, co nie jest miłością. Idzie od nich coś takiego, co zapada w duszę aż na dno! O! patrz jeszcze na mnie — czuję, jak z twych oczu idzie ku mnie ja-

kiśrżeżki, ożywiający prąd, w którym spala się wszystko, co nie jest mną samym i odpada precz, a dusza moja, moja własna dusza staje przed tobą w świętej swojej nagości taką, jaką była przed początkiem... Ty umiesz spojrzeniem swoim wydobywać ze mnie same dźwięki czyste, wielkie, boże... Kiedy patrzysz we mnie, czuję się dużym i mocnym. Czuję się dobrym... O, patrz na mnie jeszcze. Tak jak ty nikt na świecie patrzeć nie umie. Spojrzenie twoje nieskończonością pachnie! Duszę mi swoją daj, duszę daj! *klęczy, objawszy ją mocno rękami, zatopiony oczyma w jej wzroku, blisko, blisko... Znów długa, mocna, radosna cisza. ...Tak! wszystko, co poza nami jest, szkodzić nam nie może! Ty i ja — ja i ty! to świat! Opada z westchnieniem na dywan, kładąc znów głowę na jej kolanach, innym tonem.* Wiesz! ja czasem dotąd jeszcze uwierzyć nie mogę szczęściu swemu! że ja cię mam! żeś ty naprawdę, naprawdę moja! To jest czasem takie silne, tak mi nagle pierś całą wypełni, że aż mi oddechu brak! A przecież powinienem się był już przyzwyczaić do tej myśli! Przecież to już — ileż to Ewuś?

EWA z uśmiechem.

Dwa lata i siedm miesięcy!

ANDRZEJ.

Tak, już trzeci rok jakieśmy się pobrali! *z uśmiechem.* Wiesz, matka ma słuszość, że długo trwają nasze miodowe miesiące! Co — czy długo? czy tak długo?

EWA patrzy mu w oczy z uśmiechem.

ANDRZEJ *z dziecinną, jemu właściwą, ruchliwością umysłu, przerzucając się zaraz do innego, żartobliwego trochę nastroju, ze śmiechem.*

Inne małżeństwa zdążyłyby się sobie już sprzy-

krzyć trzydzieści razy, spowszednieć 80, rozwieść raz, a nawet napowrót pogodzić... *Ewa grozi mu, on całuje jej ręce. A my ciągle, jak «para turkawek»... Naśladuje matkę. «Fidrygalki nam w głowie»! Ewa daje mu klapsa. Ależ, moja droga, jak ty się zachowujesz? Nie masz już przecież lat dwunastu! To wstyd! matka dzieciom! To nie wypada! Śmieją się oboje z twarzami do siebie przytulonemi. Nagle Andrzej zaczyna całować jej twarz, włosy i szyję raz po raz, prędko, prędko, prędko. O ty moja... ty złota... ty moje kochanie najśłodsze... ty... ty... szuka jej ust, obejmując ją namiętnie.*

EWA *broniąc się.*

Nie... nie... Jędrus... nie, proszę... Mama wejść może.

ANDRZEJ.

Nie nie wejdzie... Raz tylko... Prędko... raz tylko jeden... *Całuje ją — potem ręce i suknię, obsypuje ją całą pocałunkami. O ty moja... ty moja... moja... moja... Zmęczony się, siada znowu na ziemi, oddychając głęboko... Wiesz... ja nieraz myślę nad tem, co ty masz takiego w sobie, że cię zawsze równie pożądam?... że każdy nasz pocałunek zawsze pierwszym jest pocałunkiem, że tobą niepodobna jest nasycić się... I myślę, że to jest może właśnie ta słodka, ta rozkoszna, ta przedziwna dziewczęcość twoja, którą zachowałaś dotąd...*

EWA *zawstydzona.*

Jędre...

ANDRZEJ.

Ja cię zawsze zdobywać muszę na nowo... tak, jak wtedy, tak, jak... Pamiętasz?... *Opiera znowu głowę na jej kolanach i znów uderza w tę samą stronę wspomnień, którą przelotnie potracił już wprzód... Jakaś ty wtedy była płochliwa! Jaka przedziwnie, przedziwnie dziewi-*

cza! Kiedyśmy się zaręczyli — pamiętasz? — ja się zawsze lękałem zbliżyć się do ciebie... dotknąć cię... Nazywałem cię konwalijką moją białą. — Pamiętasz? — I taką mi pozostałaś.. Wiesz? ja ci nie umiem powiedzieć, jakie ty uczucia obudzasz we mnie... Nie, kocham, to za mało... Cześć, wielbię, ubóstwiam, jak świętość... Wszystko za mało, za mało...

EWA.

Jedyny mój...

ANDRZEJ.

Ja nieraz patrzę na ciebie, jak na cud boży... Piję obecność twoją, piję słodką harmonię ciała twego, ruchów twoich, aż do upojenia... Wiesz, ty działasz, jak radosny, rozmodlony, rozśłoneczniony poranek majowy — kiedy dusza słodki czar wiosenny pije i w bezustannem chodzi pogrążona nabożeństwie... Moje ty święte... relikwie ty moje...

EWA.

Jędrek... nie lubię, kiedy tak mówisz...

ANDRZEJ.

Te ruchy twoje — te twoje ciche, słodkie, lekkie ruchy, które tak kocham, jak muzykę... W nich ty jesteś cała. One takie ciche i lekkie, jak ty sama i takie dziewczęce, jak ty... Zawsze, jakgdyby się przed czemś broniły, zasłaniały... Wiesz? patrzę nieraz na inne kobiety — żony drugich i myślę, jakie one w ruchach nieskromne. Jedne leniwe i ociężałe, jakby mówiły ciągle: omdlewam z pragnienia! a inne wyzywające i zbyt śmiałe, jakby wołały: pójdź!.. Ty masz w ruchach, w spojrzeniu coś lęklivego i dziewczęcego — coś takiego, co mają tylko młodziuchne, niewinne dziewczątka...

EWĄ *bawiąc się jego włosami.*

Pan Andrzej — poeta?

ANDRZEJ.

O ty biała, ty święta moja, natchnienie ty moje. Czar rozchodzi się z ciebie, jak światło ze słońca. — Pamiętasz, jakieś mi to pierwszy raz pozowała? Nazwałem to «Natchnieniem», a ludziska gapili się z rozdziawionymi gębami i mówili: to wielkie! — To nie ja, to ty, to ty wielką byłaś, ty duszo twórczości mojej. — Wiesz, zdaje mi się nieraz, że ja żyję, że ja tworzę tylko przez ciebie i dla ciebie. Gdybyś kiedyś... Gdybym kiedyś przestał wierzyć w ciebie... Nie, nie, to być nie może! Szalony jestem! W tobie niema zła, tyś dobrem samem! tyś nawet do złej myśli niezdolna. — Prostu ty i zło to rzeczy skrajnie, biegunowo przeciwne sobie... tak jak dzień i noc, tak jak Ormuzd i Aryman. Ty jedyne Bóstwo moje w które wierzę bez granic i do którego się modłę.

EWĄ.

Bluźnisz, Jędrus...

ANDRZEJ.

Nie, pobożny jestem... Czczę bez granic, korzę się, do nóg pokłony biję... Dopóki to słońce moje świeci, dopóty żyję... *Całuje jej stopy.*

Jedyny mój!

EWĄ *uśmiecha się.*

ANDRZEJ.

Tyś życie, tyś słońce, tyś Bóg, tyś Moc... A ty — czy kochasz, czy kochasz? No mów, mów... *Zmęczył się.*

EWĄ *po chwili.*

Ty wiesz — ja mówić nie umiem... Ale czuję Moc...

Ale czuję w nas tę moc — tę ogromną, nieodpartą moc, od której musi odbić się wszystko... *po chwili z cichym śmiechem* Cień?! — co? wszak tak mówiłeś? cień? — na nas cień — na nasze szczęście, na nasz dom cień? *Śmieje się cichutko* Ha-ha-ha! *Oddycha głęboko.* Wiesz? ja czasem czuję się taka... taka bogata tą miłością naszą i tą wiarą twoją we mnie, i tą bezwzględną, niewzruszoną pewnością, że my oboje, to świat... Taka mocna się czuję, że... *Znowu śmieje się cichym, tryumfującym śmiechem.* Że... wiesz?... nieraz to ja... tak, w duszy... wyzywam matkę twoją, aby nam psuła spokój! Aby go nam zepsuć spróbowwała! Wyzywam wszystko, co jest po za nami — wszystko, co chce się wcisnąć między nas, aby nas rozdzielić spróbowowało!... *Z radosną, skupioną mocą, cicho, a silnie, z uśmiechem* Lękać się? nie! ja się nie lękam! ja się nie lękam niczego! *Podrzuca głowę w górę. Głośniej* Niech spróbują! Tak! wywołuję wszystkie złe moce, które śpią dokoła w ciszy i rzucam im w twarz wyzwanie! Niech przyjdą! niech spróbują walczyć ze mną! *Urywa i patrzy dokoła, jak gdyby czekała na nie. Andrzej z mimowolnym lękiem ogląda się po pokoju, w którym jest prawie ciemno.* Boisz się? *Uśmiecha się.* Nie bój się! *Obejmuje go silnie.* Ja się nie boję! ja się nie boję niczego! Jam mocna! Jam cicha ale uparta i mocna! Nie bój się! Moja moc większa! Ja zwyciężę! Ja — muszę zwyciężyć! *Głowa jej w górę podniesiona dumnie, nozdrza drżą chęcią walki i pewnością zwycięstwa.* Niech ktokolwiek, niech cokolwiek spróbuje zabrać mi ciebie! zabrać mi szczęście nasze, dom nasz! Ja wszystko co nie jest nami, zgniotę, zniszczę! nie dam! *Cicho — z mocą* Ja! Miłość! *Usta jej rozchylają się na jedno mgnienie oka tryumfującym, prawie drapieżnym, prawie okrutnym uśmiechem.*

ANDRZEJ *patrzy na nią w zachwycie i zdumieniu, szeptem:*
Jakaś ty... jakaś ty... Ewuś... chowa twarz na jej
łonie.

EWA
nachyla się nad nim, oddychając głęboko, z cichą mocą.
Tyś mój... Tyś mój... Mój...

ANDRZEJ *szeptem z głową ukrytą na jej kolanach.*
Więc tyś taka? tyś taka? zawsze taka cicha, mil-
cząca... a taka... o ty! *Chwila mocnej ciszy. Oboje czują,*
że to nie jest chwila jedna z tysiąca, że to chwila dzinna
i wielka — taka, która zapada w wieczność. Milczą.

ANDRZEJ.
Wiesz? czasami doznaję uczucia, że ty jesteś wię-
cej mną, niż ja sam... A to przecież wszystko my —
wszystko ja... I ty i Stach nasz...

EWA *nachyla się nad nim.*
Muszę zobaczyć, czy śpi jeszcze...

ANDRZEJ.
I... i tamto... to, co przyjdzie...

EWA *zasłania mu usta ręką.*
Cicho... Cicho, nie mów nic... nie mów nic...

ANDRZEJ *obejmuje jej nogi.*
Tak dobrze... tak dobrze... *Chwila ciszy.*

SCENA IV.

CIŻ — MATKA.

MATKA *w szerokim, prostym, płóciennym w paski fartu-
chu, wchodzi nagle z kuchni z hałasem, wpuszczając przez*

otwarte drzwi smugę światła i wołając już od progu krzykliwie.

Nie! tego już doprawdy znieść niepodobna! Niech sobie Eweia wyobrazi, że Justyna... A to co? Po ciemku siedzicie?... *Zgryźliwym mrukiem* Aha! znowu romanse!... *Z naciskiem* Przepraszam! Wychodzi, mrucząc i zatrząskując drzwiami za sobą.

ANDRZEJ I EWA *siedzą przytuleni do siebie, śmiejąc się cichutko, jak dzieci, którym się figiel udał.*

EWA *po chw. cicho.*

Wiesz — myślę nieraz, jak my to powiemy mamie.

ANDRZEJ.

Co takiego?

EWA.

No... wiesz... *Zasłania mu oczy.*

ANDRZEJ.

Nie spostrzegła jeszcze?

EWA *kręci głową, że nie.*

ANDRZEJ.

Boisz się?

EWA.

Ja? *patrzę sobie w oczy z uśmiechem.*

ANDRZEJ.

Nie bój się. Ja jej to sam powiem przy pierwszej sposobności. Przecież jestem u siebie w domu. *Pauza.*

EWA *z westchnieniem.*

Trzebaby zapalić lampę...

ANDRZEJ.

Czekaj... Jeszcze chwilę... *Pauza.*

EWA.

Justyna musiała znów coś zbroić. Mama nie wytrzyma. Za chwilę przyjdzie tu znowu z wielką skargą. *Wzdycha komicznie.* Trzeba będzie znowu zrobić Justynie wielką awanturę! *Rozkłada szeroko ręce, jakby chcąc pokazać, jak wielką.*

ANDRZEJ.

Wiesz? Mam wyborowy pomysł! Ucieknijmy!

EWA.

Dajże pokój!

ANDRZEJ *zrywa się.*

Ależ tak! Bierz prędko płaszczyk i chodźmy!

EWA.

Gdzie?

ANDRZEJ.

Gdziekolwiek! za miasto — cudny wieczór!

EWA.

A — nie, muszę iść do dziecka.

ANDRZEJ.

Idźże więc — a ja tu zaczekam. Tylko spiesz się!

EWA.

Biegnę! *Wybiega na lewo z frontu.*

SCENA V.

ANDRZEJ sam, potem MATKA.

ANDRZEJ

chodzi po pokoju, uprzątając trochę, zasłania obraz i t. p. Nagle usłyszawszy Matkę, chowa się za sztalugę, jak dzieciak, który chce wyplatać figla.

MATKA *wpada prawie z płaczem.*

Powiada, że nie będzie jutro prała... No moja Ewciu, co ja z tą Justyną... No, czemuż Ewcia nie nie mówi? *Podchodzi do sofki.* Cóż to? niema nikogo? A gdzież oni się podzieli? wyszli, czy co? e! chyba nie! przecie kolacya... No, już ta Ewcia, ta Ewcia... no, no!... *Wychodzi, wzdychając.*

ANDRZEJ

jak tylko wyszła matka, wychyla się z kryjówki, chichocząc, podchodzi na palcach do drzwi z lewej i woła cicho.

Ewuś!... Ewka!...

EWA *za sceną.*

Ide już! Wchodzi w eleganckim płaszczyku, który zapina szybko i w kapeluszu. Śpi...

ANDRZEJ *bierze szybko łaskę i kapelusz.*

Chodź, chodź! Prędko, prędko, prędko... Bierze ją pod ramię, wybiegają szybko głębią na palcach, chichocząc. W chwili, kiedy już są przy drzwiach, słychać w głębi z lewej trzask spadającego naczynia i wielki lament Matki.

MATKA *za sceną.*

A jaj! ajajaj! A to skaranie Boże! Rany Boskie, co ja mam z tobą! Rany Boskie!

ANDRZEJ.

A tam co znowu? *Staje.*

MATKA *wpada.*

Cóż to? wychodzicie? Na miłość Boską, nie zostawiajcież mnie samej z tym zbójem! Ta szelma mnie tu jeszcze zamorduje!

SCENA VI.

ANDRZEJ. EWA. MATKA. JUSTYNA.

Na progu ukazuje się brudna i zachmurzona, starsza służąca, Justyna, która przynosi lampę i stawia ją na stole.

JUSTYNA.

E, niech ino pani nie wydziwia, bo niema na co. *Tłomacząc się do Ewy* Fajerka ino spadła, a pani zara krzyczy, jakby ją ze skóry obdzierali.

MATKA *krzykliwie.*

Spadła? Spadła? a ile razy mówiłam ci, kołtunie jakiś, żebyś jej nie kładła tam na piecu? Ty flądro jedna! ty tłomoku!

JUSTYNA.

E, niech mnie ta pani od tłomoków nie wyzywa, bo...

EWA.

Justyno, bój się Boga... Mamo, proszę...

MATKA *placze.*

Zabićby mnie tu mogli w tym domu, zabić na śmierć, a mój syn rodzony aniby słówka nie pisnął! O losie! *Zawodzi.*

JUSTYNA.

O Maryjo, Matko Chrystusa Boga... Przecieżem nie kazała fajerce spaść na panią... Ale pani, to się wszędzie wtrzyńć musi...

ANDRZEJ.

Cicho! Nie dogaduj tu jeszcze! Marsz mi zaraz do kuchni!

MATKA.

Zostań! *Ociera oczy* To poszło o pranie. Powiada, że jutro prać nie będzie. *Zalamuje ręce* No, co ja mam zrobić z takim kozłem spartym?

JUSTYNA.

A bo nie, mówię pani. Jutro piątek — zły dzień, w poniedziałek zacznę.

ANDRZEJ *zły*.

W piątek czy w poniedziałek — pierz czy nie pierz — tylko mi idź raz do licha!

MATKA *placzkliwie*.

Takie życie... Syn nie szanuje, służąca nie szanuje... Oj, prawda to, święta prawda, że być na łasce u dzieci, to lepiej psom buty szyć... *Pociąga nosem*.

ANDRZEJ *wściekły*.

Mamo, niech mnie mama nie przyprowadza do ostateczności! Ludzka cierpliwość ma granice!

MATKA.

Żeby taki kołtun, taki gudłaj, taki podły małpison śmiał ubliżyć mnie, wdowie po urzędniku! O Boże Boże!...

ANDRZEJ *stając nad nią z założonemi rękami*.

No więc co ja mam zrobić? Wyrzucę ją, to będzie druga — mama z każdą to samo — dwa tygodnie żadna nie wytrzyma! No czego mama chce?

MATKA.

Niech Justyna zacznie jutro pranie. Przez dwa dni skończy. Ale to leń... szelma!

EWA

do Justyny, cicho ale bardzo stanowczo, mierząc ją wzrokiem.

Justyna zacznie jutro pranie... Ja proszę.

JUSTYNA *udobruchana trochę.*

A co mi tam! Fi! Albo mnie ta o to! Dla was to mogę zrobić. Wychodzi.

ANDRZEJ *chodzi po pokoju i staje przed matką.*

Ej, mamó, mamó! Jak mamie nie wstyd! jak mamie zdrowia nie żal! Co wieczór awantury ze sługą! Nie-
ma pół godziny, żeby nie było coś nowego!

MATKA.

Dobrze ci to mówić! Ty sobie przy oknie «w pokoju» siedzisz i pędzelkiem mazesz, to ci się zdaje, że to wszystkim tak lekko. Ale niechnobyś spróbował tak, jak ja, cały boży dzień stare kości natrzasać przy kuchni, w swędzie, w dymie, i przy takim kołtunie, co z tobą za pan brat...

EWA *przychodzi do niej i całuje ją w rękę.*

Biedna mama... I poco to? Niech mama do kuchni nie zagląda! Ja dam sobie radę. Ja przecież dawniej sama...

ANDRZEJ.

Naturalnie! Niech mama przestanie zajmować się gospodarstwem! Dotąd przecież mamy przy nas nie było a jakoś...

MATKA *prostując się energicznie.*

O nie, nie! Jeszczem nie taka stara, aby iść chleba prosić, a ciężarem ci być, łaskawy chleb darmo jeść... póki duch się we mnie kołacze — nie będę!

ANDRZEJ.

Ależ kiedy...

MATKA

Nie będę i już! Ja sama całe życie harowałam jak wół i za krzywdę sobie tego nie miałam. Człowiek do pracy stworzony. Że się tam ty z Ewcią bawisz, to już myślisz, że wszyscy tak mogą.

ANDRZEJ *znowu zły.*

Niech mama Ewce da pokój! Chodźmy, Ewuś.

MATKA *ustaje.*

Obraziłam! No proszę! To przepraszam! przepraszam! *z prysiadami chce odejść.* Ewcia przecież dama! Ewcia pani u siebie, a ja na lasce... biedna wdowa...

EWA

Mamo...

ANDRZEJ *groźniej.*

Chodźmy, Ewuś!!

MATKA.

A idźcie, idźcie! *z przyciskiem* Na spacer! A ty matko waruj, staremi kośćmi natrzásaj, z tłomokiem się użyraj... państwo idą się bawić — *chce odejść.*

ANDRZEJ *podchodzi do niej, stłumionym gniewem głosem.*

Proszę mamy raz na zawsze, aby ustały te przycinki o państwie i o »bawieniu się«

MATKA *przestraszona trochę jego tonem.*

A czy ja co mówię? ja przecież nie...

ANDRZEJ.

Tu się nikt nie bawi. Ja pracuję ciężko, ile mogę i więcej, niż mogę...

EWA.

Andrzeju!

MATKA.

A czy ja co mówię, mój drogi? czy ja co mówię? Tylko ty się zaraz tak unosisz... I oco się to gniewać? Czy ja ci dodam, jak nie będziesz miał? Nie dam ci, bo nie mam. Oj, żebyś to był mnie słuchał, a nie ubrał się w to podle malarstwo... Ech! *wzdycha.*

ANDRZEJ.

Niech mama przestanie mówić o tem, na czem się nie rozumie.

MATKA.

Ja też nic nie mówię... ja też nic nie mówię...

ANDRZEJ *powziąwszy nagle postanowienie.*

Wierz co, Ewuś? Zejdź na dół i idź pomaleńku do parku. Wiesz? tędy, co zawsze. Ja cię dogonię.

EWA.

Ale kiedy... *patrzy na nich.*

ANDRZEJ

Proszę... Ja zaraz... Kochana... *całuje jej rękę i wyprowadza.*

SCENA VII.

ANDRZEJ I MATKA.

ANDRZEJ *Matka chce odejść.*

Niech mama zostanie. Chodzi P. ch. Wiem, do czego zmierzają wszystkie te alluzye o państwie i o próżnowaniu... Ewa porzuciła posadę na moje usilne prośby... Stała przed nią, z naciskiem. Na moje usilne prośby...

słyszysz mama? *chodzi znowu* ponieważ zdrowie jej nie pozwala na to, aby siedziała nad biurkiem siedm godzin dziennie... *Cicho i stanowczo*. Do tej pory pozwalałem na to, bom musiał... Teraz nie pozwolę! choćbym miał z głodu zdechnąć, nie pozwolę! może swój «Orkan» sprzedam. Jest podobno jakiś kupiec. Zresztą, to już moja rzecz. A wszelkich alluzji zaniechać proszę. Słyszysz mama?

MATKA.

A szłyszę, słyszę... Delikatne zdrowie u delikatnej osoby. Ja tam wprowadzisz choć stara, nie przy biurku piórkiem się zabawiam, ale...

ANDRZEJ *cicho a groźnie*.

Dosyć! powiedziałem! I proszę mamy...

MATKA.

Ale nie nie! nie zipnę ani słówka! Co mi tam do tego. Zresztą — niedługo wam już męgo — niedługo... Jak umrę, to będziecie sobie żyli, jak się wam żywnie będzie podobało. *Wzdycha*.

ANDRZEJ *p. ch. j. w.*

Wszelkich aluzji i rozmów w tym względzie zaniechać proszę. To ją drażni. Wogóle proszę unikać wszystkiego, coby ją *z naciskiem* w obecnym stanie jej zdrowia drażnić mogło.

MATKA.

W obecnym stanie jej zdrowia? A cóż to niby za obecny stan... Czyżby?... *nagle* A?... A!! Znowu? Znowu! *Splasnawszy rękami*. Tego tylko brakowało! Tego tylko jeszcze brakowało!! O, Boże ty mój! A czy kara Boska? *Załamuje ręce, płaczelnie*. Bój się Boga, Jędrus! bójże się Boga! Nie! tego już nadto! tego nadto! Oj doloż

ty moja doło! Nowy kłopot, nowa robota, nowe wydatki... Oj Boże ty mój, Boże... *lamentuje.*

ANDRZEJ.

Proszę mamy!

MATKA

I zacóżeś mnie Panie skarał takimi dziećmi! *Nagle innym tonem, ze złością* Ale bo to, naturalnie, wiecznie ciackania, fidygałki... Wam tylko to w głowie... A ty stara matko zaharuj się na śmierć, zapłacz się! zdechnij, aby prędzej! *Szeroko, z prysiudami* Aleś sobie damę wziął, ale damę! Do ciackania to ona jedyna, ale do roboty to da ma przysiada, rozkładając szeroko rękami. To jej u mnie brzydkie a tamto śmierdzi... Ale dzieci-ska to jak z rękawa się sypią! na utrapienie, na zgryzotę, na nieszczęście...

ANDRZEJ *w straszej passyi, zdławionym głosem, ściskając mocno poręcz krzesła.*

Matko!! *p. ch.* Proszę mamy, aby przestała mówić o tem... Raz na zawsze proszę przestać mówić o tem! *Pauza. Matka płacze cicho, przestraszona, pociąga nosem... Andrzej po długiej chwili, przesunawszy ręką po oczach, wzdycha ciężko, zawstydzony i zdenewronowany do najwyższego stopnia. — Cicho. Widzi mama, do czego to prowadzi. No widzi mama... I poco to... I poco?*

MATKA *ośmielona tem, że już odetchnął, płaczliwie, cicho.*

Czemu też to mnie Bóg trzyma na świecie, żebym ja dożyła takich rzeczy? czemu?... o ja nieszczęśliwa... *Placze na prawdę.*

ANDRZEJ

No... uniosłem się... przepraszam.. Ale poco mnie mama tak drażni...

MATKA.

Czytałam gdzieś, że jest na świecie taki kraj, gdzie starych, niepotrzebnych już rodziców, własne dzieci zabijają... Czemu to nie u nas.. *zanosi się cichym płaczem.* Własne dziecko... własne, rodzone dziecko...

ANDRZEJ.

Niechże mama nie płacze... No niechże mama już nie płacze!!

MATKA *j. w.*

Ja wiem, jestem ci ciężarem... Za ordynarna dla was jestem, za głupia... Ale cóż mam zrobić? Śmierci pragnę... Ale cóż zrobię? Przecież sobie lba nie ukręcę!

ANDRZEJ.

Niechże mama raz przestanie, bo się wścieknę! *chwyta się za głowę* O mój Boże... O mój ty Boże!..

MATKA.

Jam głupia... naturalnie... Ale cóżem winna temu, że mnie, jak was, nie uczono... Szkół nie skończyłam, jak wy, ani żadnych akademii... Zaledwie pisać umiem... I skądże ja mam wiedzieć, co was urazi, a co nie...

ANDRZEJ *poruszony, podchodzi do niej i całuje ją w rękę.*

Moja mammo... no moja mammo... Ja wiem, i mamie ciężko żyć z nami... Zanadto różni jesteśmy... *całuje ją znowu.* No niechże się mama uspokoi...

MATKA.

Oj, Kostusiu, Kostusiu! zapomniałaś ty o mnie, zapomniałaś!

ANDRZEJ

który przed chwilą rozmiękł zupełnie, teraz zżyma się znowu.

Ech, kiedy to mama...

MATKA *podnosi się ciężko, obciera oczy.*

E, dajno pokój! wiem ja co mówię. Ciężarem wam jestem! Radziłyście się pozbyć mnie co najrychlej... *znów dawnym tonem.* A Justyna... Ta jedza z piekła rodem oddawna czycha na moje życie! *wygraża w stronę kuchni...* Ona w kryminale skończy! Ja jej to przepowiadam!

ANDRZEJ *biorąc kapelusz.*

Więc... do widzenia... idę za Ewą. *Wychodzi.*

MATKA.

A idź, idź! *woła za nim.* A wracajcie prędko, bo befsztyk wyschnie jak podeszew! Oj! Boże Boże! taki kłopot! taki nowy kłopot! *wzdychając i człapiąc pantoflami wychodzi i zabiera z sobą lampę.* Ciemno. Za drzwiami słyhać przez chwilę jej gderliwy głos, przyganiający coś Justynie. Potem wszystko cichnie. Cicho i ciemno. Długa chwila ciszy. P. ch. słyhać za sceną podniesiony głos Matki. Ależ proszę, proszę, niech pan pozwoli tutaj... *otwiera drzwi, przez które do ciemnej pracowni wpada smuga światła.*

SCENA VIII.

MATKA I MAREK.

wchodzi matka człapiąc pantoflami, za nią Marek z laską i kapelusz w ręku.

MATKA.

Jak tu ciemno.... Zaraz, zaraz... Przyniosę lampę... *wychodzi na lewo w głąb i przynosi stamtąd zapaloną*

lampę, stawia ją na małym stoliku z lewej — w pokoju robi się jasno. O, tak. Przygląda mu się ciekawie. Proszę, niechże pan siada. Marek siada z ukłonem. Patrzą na siebie chwilę. Więc pan...?

MAREK.

Rudzki, Marek Rudzki.

MATKA.

Przyjaciół?

MAREK.

klania się. Jest to mały, szczupły brunet z krótką bródką, którą często szarpie. Wzrok ma ironiczny i wyjątkowo bystry. Jest blady i robi wrażenie człowieka, który przeszedł ciężką chorobę. Chwilami drgają mu powieki, jak komuś, co zaraz wybuchnie płaczem, wzdycha ciężko, przerywanym oddechem człowieka bardzo zdenewrowanego a zaraz usta jego krzywią się pogardliwym uśmiechem, prędkim ruchem zakłada w oko monokl i znów przybiera pozór eleganckiego, zblazowanego «pana»

MATKA.

No no... p. ch. siedząc naprzeciwko niego z rękami o kolana opartymi. A ja jestem matka... Andrzeja matka...

MAREK wstaje znowu i klania się.

MATKA.

Pan nie wiedział, że Andrzej ma matkę?

MAREK.

Owszem, wiedziałem.

MATKA

z westchnieniem, jakby uspokojona, że przemówił nareszcie.

Tak, panie... przyjechałam przed dwoma miesiącami...

MAREK *mruga oczami.*

Tak, wiem... W tydzień po moim wyjeździe, *zakładała szybko monokl.*

MATKA *z niechęcią.*

A? Pan tak niedawno widział się z Andrzejem?

MAREK *upuszcza monokl.*

Niedawno.

MATKA.

A... a gdzież pan przebywał, jeśli spytać wolno?

MAREK *krzywi się z niechęcią.*

W Szwajcaryi, pani.

MATKA.

Acha — w Szwajcaryi... *ciekawie.* A poco pan tam niby...

MAREK *wstaje, patrząc na zegarek.*

Ale może Andrzej...

MATKA.

Ale nie... wróci zaraz. Niechże pan siada. *Marek siada.* Więc mówi pan, że w Szwajcaryi?

MAREK.

Dla studyów, pani.

MATKA.

Acha!.. A to... *patrzy na niego z niedowierzeniem. Marek kręci się na krześle niecierpliwie.* Ale... ale pan nie urzędnik?

MAREK.

Nie, pani.

MATKA *kiwa głową i patrzy nań z góry.*
Zaraz też pomyślałam... Mój mąż nieboszczyk był

urzędnik. *Marek milczy.* Niena to, proszę pana, jak urzędnik. Bo to i chleb pewny i emerytura. Tak tak.. *Marek milczy.* Ja tam emerytury nie mam, mój mąż nieboszczyk ogromnie żałował, umierając! niczego mi nie żał, moja Honorciu — mówił, bo mnie, proszę pana, Honorata na imię — niczego mi nie żał, jak tylko tego, że mi tylko przez trzy lata płacili emeryturę! — żał mu było umierać, nieborakowi, ale cóż — prywatnym był, panie, prywatnym, *wzdycha* a ja teraz, choć palce liż. Odprawę dostałam, prawda, dostałam, ale cóż, przejadło się... *rozklada ręce.* Mój synek rodzony... wie pan, tamten syn, u którego byłam przedtem, przepuścił, przehulał... *Placzliwie* a ja teraz sama, biedna sierota u dzieci na łasce... *ociera oczy fartuchem, pociąga nosem.* Co za los! co za los! *Nagle, wygrażając pięścią.* Oj bodajby on z piekła nie wyrzał, ten lajdak! Bodajby go... *ociera znowu oczy.* Wyjechałam, naturalnie. I noga moja tam więcej nie postanie! choćbym skonać miała! Oto dzieci, panie... Oto dzieci... A ten tu znowu... *wzdycha i macha ręką.* *Po chwili ciekawie.* Więc pan — tak dla studyów... A może pan — profesor?

MAREK *który wstał i oglądał różne szkice i tp.*

Nie, pani.

MATKA *wstając.*

Pewnie inżynier. Zaraz pomyślałam, że inżynier. *Podchodzi do niego.* Ogląda pan te bazgroty? *wzrusza ramionami.* Ja bo się tam na tem nie rozumiem, ale... Boże mój! Na tem trawić życie! *przygląda się jednemu ze szkiców, kładzie go z westchnieniem.* Ot, głupstwo i koniec. *Założynszy ręce na brzuchu.* A com ja się naprosiła, nabłagała — Jedruś, bądź urzędnikiem, jak twój ojciec albo idź na uniwersytet, jak wszyscy porządni ludzie... Będiesz miał i уваżanie u ludzi i chleb na starość... *macha ręką.* Gdzietam! a czy to

się, proszę pana, matki słucha? Ja swoje a on swoje. A uparty, jak kozioł. Pojechał, widzi pan, za granicę, o głodzie, o chłodzie ale malarzem jest! «Artysta!» Ot! *wzdycha*. I żeby chociaż teraz zarabiał tyle... Ale to panie, między tymi artystami nędza... Kto to kupuje? *trąca nogą szkieł na ziemi*. Albo to kto ma pieniądze na wyrzucenie? Stół, łóżko, trzewik to dobre, to ludzie kupują, bo to do życia konieczne — ale obraz... I jeszcze taki obraz! Tak tak, panie... teraz jaje mędrsze od kury. *Wzdycha*.

MAREK *milczy, pauza, p. ch.*

A gdzie poszli? bo może...

MATKA.

Niby Andrzejowie?... A no, na spacer... Oni tak często po spacerach chodzą... czasem to wie pan, i w nocy o dwunastej albo i później na spacer sobie idą. A jakże. *Wzdycha*. Takie tam już warjaty.

MAREK *z udaną powagą*.

Ha! to trudno, proszę pani! Człowiek jest jak stolarz, raz jest, a raz go niema...

MATKA *przerażona*.

Niby... niby co?...

MATKA *p. ch. z westchnieniem*.

Oj, przeklął mnie Bóg, przeklął chyba za cudze grzechy, że u dzieci na łasce być muszę... A żonę sobie wziął... Boże ty mój... *wzrusza ramionami*. Dziecko niby kocha, ale... ni z pierza to ni z mięsa. Delikatne to jakieś, ciche... Ot gęś i koniec. Na kopy mógł takich dostać i z pieniędzmi. A to — gołe, Panie odpuść... a z wymaganiami, a z fochami, bo to «pańskie» dziecko...

Z «famili»... Nie wiedzieć, jak to mówić do tego, żeby się nie obraziło ani jak dotknąć, żeby się nie stłukło... Panie, ty widzisz... Niby to nie mówi nic... Nawet Jędrusiowi nie skarży na mnie, ot, zwyczajnie, gęś — Ale jak spojrzy temi swemi ślepiami, to aż dech w człowieku zaprze. No, już tam, niech on mówi, co chce, ale nie będzie on z nią szczęśliwy. Niesamowita jakaś, czy co... I co on sobie w niej upatrzył?... Boże! mizerne to... A przytem... ruda... Już tam ja zawsze miałam do rudych pik i już mi tam tego nikt nie wytłómaczy. Rudy to rudy i już. Niedarmo to Judasza rudego malują. Zawsze w nim nieczysta jakaś siła... A teraz nowe znów zmartwienie... Eh! *wzdycha*. Mówię ja panu, że na łasce u dzieci być, bo lepiej kamień u szyi i... *Pauza*. Gniewa ją to, że on milczy ciągle. He?

MAREK.

Nic. *Z nagłym przyplywem ironicznego humoru*. Moja nie ruda była, a porzuciła mnie... *Wkłada monokl*.

MATKA *ciekawie, podchodząc do niego*.
Porzuciła? żona?

MAREK *odwracając się*.
— A tak... żona...

MATKA *chwiejąc głową z politowaniem*.
No no...

MAREK *mrugając do niej z galgenhumorem*.

Bo człowiek proszę pani jest, jak stolarz... raz jest a raz go niema. Matka oburzona nie wie co ma o nim myśleć... Ale może Andrzej nie przyjdzie... to ja jutro...

MATKA *zatrzymując go, zainteresowana*.

Ale niechże pan siada. *Siada także*. Więc porzuciła... mówi pan? I to żona?!

MAREK.

Tak — żona... Albo coś w tym rodzaju... *chodzi nerwowo po pokoju.*

MATKA.

Uhm... *Wstaje, przygląda mu się przez ramię.* Zaraz też pomyślałam... *p. ch.* To pan nie inżynier?

MAREK *krótko, sły.*

Nie.

MATKA *przez ramię pogardliwie.*

Pewnie — artysta? *z naciskiem.*

MAREK *t. s.*

Tak.

MATKA *z jeszcze większem lekceważeniem.*
Malarz może?

MAREK.

Nie — literat. Dramaturg.

MATKA *przez ramię.*

Zaraz też pomyślałam...

MAREK *z ukłonem.*

Bo człowiek jest jak stolarz...

MATKA *zła.*

Wiem już wiem, słyszałam! *Protekcyjonalnie:* Proszę, niech pan zaczeka. Andrzej zaraz przyjdzie. *Etykietalnie:* Wybacz pan, ale moje zajęcia... *wychodząc, mruczy do siebie.* Gbur! żeby też mnie, uczciwej kobiecie opowiadać o stolarzu i jakiejś tam... *Wychodzi oburzona.*

MAREK

chodzi nerwowo po pokoju, oglądając to i owo. Staje przed

stalugami, podnosi zasłonę, przygląda się zainteresowany, odrzuca zasłonę, wpatruje się weń długo. Potem zasłania powoli, siada z prawej pod oknem, oparłszy łokcie na kolanach a palce zatopivszy we włosach, jak człowiek, w ostatecznej rozpaczach pogrążony. Kołysze głowę w tę i w tę stronę, jakby okrutną trawiony męką. Po długiej chwili, usłyszawszy głosy z lewej w głębi, podnosi głowę, drgnąwszy. Patrzy wkoło, jak błędny, potem słysząc wchodzących, przybiera znowu zwykły, ironicznie skrzywiony wyraz twarzy.

SCENA IX.

Za sceną słyhać ożywione głosy Ewy i Andrzeja.

ANDRZEJ *za sceną.*

Marek? Nie może być!

EWA.

Marek?!

MAREK. ANDRZEJ. EWA. *Potem* MATKA.

ANDRZEJ *wchodzi, trzymając Ewę w objęciu.*

Marek! słowo daję! A niechże cię! Jeżelim się ciebie spodziewał, to niech zdechnę! Pokażno się! *Podaje mu rękę i ściska go żywo, otrzepuje się.* Ależ leje! Jakie to szczęście, że się burza zerwała.

EWA.

Macież włóczęgę! *Podając mu rękę.* Nie spodziewaliśmy się pana tak prędko! *Zdejmuje płaszczyk.*

MAREK *całuje ją w rękę.*

Zatęskniłem.

EWA z uśmiechem.

Za nami? Opiera się na Andrzej — on ją obejmuje.

MAREK.

Za sobą. Powieki drgać mu zaczynają — udając re-
szołość. Niech sobie pani wyobrazi, zgubiłem samego
siebie... I ani rusz znaleźć się nie mogę. Próbuje się
uśmiechnąć, krzywi się.

ANDRZEJ.

Jezus Marya! Marek, co z tobą? Bój się Boga, jakże
ty wyglądasz? Co się stało?

MAREK.

Nic. Dostałem kopnięcie w nos i chce mi się kichać!
Głos mu drży, wkłada monokl. Ale to nic. Mówią, że
to zdrowo.

ANDRZEJ.

Na miłość Boską, człowieku...

EWA usuwając go.

Daj pokój, Andrzej... Podchodzi do Marka, który
usiadł i kładzie mu rękę na ramieniu, poddając mu tę
myśl. Pan chory...

MAREK

wypuściwszy monokl, opada całym sobą na chwilę, jakby
go naraz opuściły wszystkie siły. Z obwisłymi powiekami,
opadniętymi kątami ust, z beznadziejnym przygnębieniem.

Tak... chorowałem... Milczenie. Andrzej i Ewa pa-
trzą na niego ze współczuciem. Po chwili Marek przycho-
dzi do siebie. Dawnym swym, ironicznym, urywanym to-
nem, za którym ukrywa się ból.

MAREK.

Tyfus... czy też influenza... czy też katar... coś ta-
kiego... coś w tym rodzaju... Przymyka oczy, zmęczony.

EWA *udając, że w to wierzy.*

No, ale teraz wszystko już dobrze... Prawda?.. *po chw.* Napije się pan herbaty?

MAREK, *który ostatnim wysiłkiem woli panuje nad sobą.*
Pro... proszę...

ANDRZEJ.

Zakrzętnij się Ewuś... Naturalnie, zamieszkasz u nas...

MAREK.

O... nie... Dziękuję... ja... *Odwraca się nagle.*

ANDRZEJ.

No, pogadamy jeszcze o tem... Będziemy się kłócili — co? *Usiłuje się śmiać — wszyscy udają swobodę — nieswoja, przykra cisza.*

MATKA, *która weszła przed chwilą... w progu.*

To trudno, mój panie... Stało się! Gorsze rzeczy się dzieją, a... Od tego nikt nie umiera...

ANDRZEJ I EWA

poruszyli się, dotknięci niemile. Andrzej daje matce znaki ręką, aby umilkła.

MATKA.

E, daj ty mi tam pokój! Cóżem znów złego zrobiła? A powiedział mi, co mu jest! właśnie, że powiedział. Mnie powiedział. Miał widać do mnie zaufanie.

ANDRZEJ.

Mamo...

MATKA.

E, daj mi pokój. Wiecznie sobie zamykać gęby nie pozwolę. — Co tam panu! Porzuciła, no to i cóż! Porzu-

eila jedna, to będzie druga! Ktoby wam tam wierzył! Macha ręką i zwraca się ku drzwiom. Przygląda się Ewie chmurnie, z pod oka, wzdychając. Marek siedzi odwrócony od nich, z twarzą, w dłoniach ukrytą. Widać tylko jego plecy, wstrząsane silnem łkaniem. Cicho.

ANDRZEJ *załamując ręce.*

Jezus Marya... Jezus Marya...

EWA

podchodzi do Marka i gładzi go delikatnie po włosach i ubraniu.

MAREK

po chwili, wyjmując chustkę z kieszeni, wstrząsany nerwowym płaczem.

Prze... Przepraszam... myślałem, że będę silniejszy... przepraszam...

EWA.

No, Marku, Marku...

MAREK.

Już nie... ja zaraz...

ANDRZEJ *chodzi po pokoju.*

Ach Boże... Ach Boże! że się to musiało stać...

MATKA *przez ramę od progu.*

I żeby tak... za nieślubną... Boże! *wzruszając ramionami wychodzi.*

EWA.

No Marku, uspokój się...

ANDRZEJ.

Tak... uspokój się... Chodź, napijesz się herbaty... *Podchodzi do niego i chce go wziąć pod ramiona.*

MAREK.

Nie, nie... Chcę wam opowiedzieć zaraz... wszystko... muszę.

EWA.

Nie, nie... jutro... potem...

MAREK.

Kiedy ja... kiedy ja doprawdy... już nic... Myślałem, że będę silniejszy... Ale te meble, sprzęty, pani... wszystko to przypomniało mi, co było tak niedawno temu... *Wzdycha głęboko kilkakrotnie.* Ewa myśli, żem mazgaj... Co, Ewuś, prawda? myślisz pani, żem mazgaj... *Chodzi.* O, gdybyście wiedzieli... Gdybyście wiedzieli...

ANDRZEJ.

Nie mów... to cię drażni.

MAREK *gorączkowo.*

Nie nie — chcę mówić, muszę mówić... Muszę raz nareszcie powiedzieć to komuś... To mi ulży... *Chodzi.* Gdybyście wy wiedzieli, jak ja ją kochałem... Na rękach nosiłem, u nóg leżałem, jak pies... *Mówi chodząc i przystając, urywanie. nieporządnie.* Do Szwajcaryijechać chciała... Marzyła... prosiła... Tłómaczyłem... Teraz? o tej porze? tam zimno jeszcze!... Słuchać nie chciała... Nie pojedziesz, to sama pojedę... Pojechaliśmy... wiecie... U rąk mi się wieszała, u szyi... na rękach ją tu miałem — o tu... *Urywa, głos mu się łamie.* Ja tak kochałem jej wesołość... Wyjechaliśmy, a ona... Pamiętacie tego dużego, tegiego bałwana, co się tu za nią włóczył? To był jej mąż... I ona tam dla niego. — I nic... Przyszła i powiedziała mi po prostu bez zająknienia: nie kocham cię już, nigdy cię nie kochałam! jego kocham! puść mnie! ślubu z tobą nie wzięłam! — i nic! Nie spuściła nawet oczu... ooo! *Chodzi, szarpiąc*

brodę, staje. Zabić chciałem tego idyotę, dryblasa, sklepikarza... do oczu mi skoczyła i w twarz plunęła... Uciekłem... po górach się włóczyłem tydzień, nie jeżdżąc... Osłabłem... Siada.

ANDRZEJ mruczy, chodząc, trze się po łbie.

Psiakrew... psiakrew... Nagle, podnosząc w górę pięść Kocica!

MAREK.

Kiedym ją poznał, nie żyła z nim już. Opuścił ją dla jakiejś ulicznicy. — Dlaczegoś mi to zrobiła? pytam. Dlaczegoś mnie sobie wzięła? — Nieszczęśliwa byłem — sama — myślałam, że go już nie kocham — zdradził mnie — «Więc ja tak tylko — na tymczasem?...» Oh!

EWA podchodzi do Marka i głaszcze go znowu.

Biedny, biedny...

MAREK opiera się o nią, przymykając oczy.

Biedny, biedny... Pogłaszcz... pożałuj... Chciałem nie poddać się... chciałem mówić o tem spokojnie, cynicznie... chciałem nie pokazać nikomu, nawet wam... Byłem już twardy jak kamień, ale wy... ale Ewa... Zresztą, wszystko mi jedno. Już wszystko, wszystko jedno... wszystko głupio... I płakać głupio... i nie płakać głupio... a żyć źle... Z nowym przyływem żalu A teraz co, no co — co?!... Zatapia ręce we włosach.

ANDRZEJ podchodzi do niego i uderza go po ramieniu.

Słuchaj, Marek — nie daj się prosić! Zostań u nas! Lżej ci będzie! Nie puściłbym cię teraz samego!

MAREK z bladym uśmiechem.

Boisz się? myślisz, że... Nie bój się... próbowałem... Spuszcza głowę Tchórz jestem... Pauza.

MATKA *ukazuje się we drzwiach.*

Eweiu... niechno Eweia tu idzie...

EWA.

Idę. *Wychodzi.*

MAREK.

Wiesz? gdybyście byli nie przyszli za minutę, byłbym odjechał i nie wrócił już.

ANDRZEJ.

A my wróciliśmy, bo nagle taki deszcz lunął... A zachód był taki cudny... *po chw.* Jak to się dobrze stało...

MAREK.

Jak to się wszystko dziwnie składa. Wszystko od chwili, od chwili... *Zamyśla się — po chwili martwo* Cóż — zdrów?

ANDRZEJ.

Kto?

MAREK.

No — Staś?

ANDRZEJ.

A, dziękuję.

MAREK.

A... A Ewa?

ANDRZEJ *zdziwiony trochę.*

Wszak ją widziałeś przed chwilą.

MAREK.

A — prawda... *Po chw.* Która godzina?

ANDRZEJ.

Dziewiąta.

MAREK.

...To ja już pójdę.

EWA.

ANDRZEJ.

Ależ nie — zostaniesz. Ewa przygotowuje ci posłanie tam, w pokoiku... *Pokazuje małe drzwiczki na prawo w głębi, otwiera je.* Mam tu taki mały pokoik dla modeli... O patrz, będzie ci tu doskonale!

MAREK.

Tak... Dobrze zresztą... na parę dni tylko, bo... wyjeżdżam...

ANDRZEJ.

Dokąd?

MAREK.

Nie wiem jeszcze...

ANDRZEJ *kładąc mu rękę na ramieniu.*

Oj, zmarnowali mi cię chłopie — oj, zmarnowali...

MAREK *chwytając ustami kilka razy powietrze.*

Tak... tak... *po chw. rozkładając ręce.* Cały rok mi ukradła z życia... cały rok... Nagle Życie mi ukradła... Bo co mi teraz życie?... *Opuszcza ręce bezradnie.* — Andrzej chodzi po pokoju zmartwiony.

MAREK *po chw. nagle, innym tonem.*

A cóż ty?

ANDRZEJ *zaskoczony.*

Ja?... cóż ja?... Ewka mnie kocha... Szczęśliwy jestem...

MAREK *patrzy na niego badawczo.*

Tak?... *Podchodzi do stalug i odsłania obraz.* A to?!

ANDRZEJ

zmieszany trochę, szpiegując go skośnymi spojrzeniami.
Podoba ci się?

MAREK *przez zęby, wpatrując się w obraz.*

Nadzwyczajne... nadzwyczajne... Wiesz? porywające... *Odwraca się do niego i patrzy nań bystro.* Tylko wiesz... Tybyś tego nie był zrobił jeszcze pół roku temu...

ANDRZEJ.

Jakto?...

MAREK *wpatruje się w obraz.*

Mężczyzna, którego dusi zmore... Poezya, którą zabija duch ziemi. — Niby nic... niby taki zużyty motyw... a jednak jest w tem coś...

ANDRZEJ *nieśmiało.*

Ciesz się mnie, że ci się podoba...

MAREK *spuszcza zasłonę i uderza go nagle po ramieniu.*

Talent, bracie!... *Chodzi.* A jednak, tybyś tego nie był namalował pół roku temu... Malowałeś wtedy rzeczy silne, proste, słoneczne — rozmachane... Takie ogromnie twoje...

ANDRZEJ.

A... a to — nie moje?

MAREK.

Tak — tylko, że ty, widać, inny już jesteś... *Staje i patrzy mu w oczy* Co cię gniewa? Jak tej zmore na imię? *Idzie znów do obrazu* Chyba nie... Bo przecież to rysy twojej żony...

ANDRZEJ *z nagłym przerażeniem.*

Co?... Co ty mówisz?... *Usiłując śmiechem pokryć zmieszanie* Haha! także pomysł! Ewka pozowała mi tylko do włosów... mam model.

MAREK.

A... tak... No, no... *Odchodzi od obrazu, którego nie zasłania* Cóż więc? *Staje przed nim.* Matka?

ANDRZEJ *z nagłym ożywieniem.*

Ach, powiadam ci, piekło mam w domu! Niby to nic... przecież mnie nie bije... Ale te ciągle, codzienne sceny... o dziecko, o służkę... te ciągle przycinki, i... Nie-to nie to! To nawet nie to! Ale... rozumiesz, to całe technienie pospolitości, które ona w dom mój wniosła... No wiesz... Ja ci tego wytłómaczyć nie umiem.. Ale ty wiesz, ty to czujesz... Ja tego nie mogę, no nie mogę znieść!

MAREK.

Hm... hm... *mruczy.* Tak, tak... Bo człowiek jest, jak stolarz... Raz jest, a raz go niema...

ANDRZEJ.

Niby co? cóż to znaczy?

MAREK.

Nic, to tylko taka... filozoficzna sentencya.

ANDRZEJ.

Mnie nie chodzi o to, że ona prosta kobieta... wszak rozumiesz? chłopkębym do domu wziął i czcił, jak świętą. Ale ta marność, ta pospolitość, ta przyziemność... rozumiesz? taka mała, mała dusza... Taka mała, malutka, maciupenka... Taki kurzy mózg... Codzień, co godzinę, co minutę patrzę, jak dom mój, jak cały poziom domu mego opada, kurczy się, maleje... Ten dom, którym ja sobie stworzył sam! — I dzieci — i moje dzieci, które mają być drugim mojem, odnowionem, szlachetniejszym ja, wdychać będą tę atmosferę wiecznej kłótni i wymówek — ach!

MAREK.

Zawadza ci? Psuje ci szczęście?

ANDRZEJ.

Och!...

MAREK *namiętnie.*

Nie daj sobie psuć szczęścia! Nie daj! To nieprawda, że człowiek nie dla szczęścia żyje. Szczęście czyni człowieka dobrym, a nieszczęście... *Namiętnie* Wszystko złe, wszystko złe na świecie z nieszczęścia idzie... Ja także czuję się teraz złym... I jeżeli się stanie co złego, to nieszczęście winno! Jej i moje! — Nie daj sobie psuć szczęścia!

ANDRZEJ *załamuje ręce*

I cóż zrobić? Za okno jej przecież nie wyrzucę... Nie mam jej gdzie wysłać.. pieniędzy nie mam... Zre-sztą... matka!

MAREK.

A tak, matka! A Ewa?

ANDRZEJ *z oddechem ulgi.*

O, Ewa! żeby nie ona!

MAREK.

Tak... tak... ona mocna... na niej można się oprzeć.

ANDRZEJ *patrzy ku drzwiom, kóremi Ewa wyszła.*

Cudności moje najmilsze...

MAREK *zamyślony.*

Wiesz? to bajka, co mówią o naszej sile... One wszystkie mocniejsze od nas. To my opieramy się na nich, nie one na nas. Albo też łamią nas. One mocne. To one dęby, a my bluszcze. Ty masz Ewkę, toś mocny i sto zmor życia ci nie zniszczy... ja Stefy nie

mam już... to też... *Rozkłada ręce. Po chw.* Ze mnie już nie — trup!

ANDRZEJ.

Dajże pokój!

MAREK.

Powiadam ci — trup! *kina ręka.* Ja wiem... My, widzisz, kochamy w nich to, czego nam brak... za czem tęsknimy... Dobroć, czystość... duszę... absolut... I jeżeli zdaje nam się, żeśmy to w niej znaleźli, to topimy w niej całą duszę. — A jeżeli odejdzie, zabierze ci ją... Tego już nie wyłowisz...

ANDRZEJ.

Oj, Marku! Oj Marku, Marku!

MAREK.

Jam nędzarz, ja już nie mam nic... Ale tyś pan, tyś bogacz, król! To też mówię ci, nie rób sobie ze zmory swojej nic. To nie zmora. Zmora, która zjada duszę, to jest to, co wewnątrz nas — rozumiesz? To tylko jest tragedia. To, co człowiek sam z sobą... rozumiesz? Wszystko inne, wszystko, co na zewnątrz, to nic! śmieję się z tego, bracie!

ANDRZEJ.

Czekaj? — ktoś mi to już mówił dzisiaj... Ewka!...

EWA wchodzi i staje w progu, patrząc na nich.

MAREK.

A tak — Ewka! Ona mądra — ona mocna!... Ona zdusi zmore! Twoją zmore zdusi... tylko mojej już nie... Tylko mojej nie... *zamyśla się, staje przed obrazem, więcej jak do siebie, jakby marzył.* Czy ty sobie

wyobrażasz... czy możesz sobie wyobrazić taki na przykład pomysł... *jakby miał wizję* Na nagiem, silnem cielemłodzieńca siedzi zmora... wyciąga do niego ręce — nie, macki... już, już ma go chwycić za szyję, do ziemi przygnieść... Gdy w tem spada z góry złotowłosa Moc — Tytania i zatapia w harpii ostre paznogie... Albo nie, rozplątuje swoje długie, długie, złote włosy, owija nimi szyję harpii i dusi ją... *z siłą, jakby to widział oczyma własnemi* dusi na śmierć... Tak! dusi, dusi, dusi! Zwycięzka Moc! *Otrząsając się* Och!

ANDRZEJ.

Daj pokój Marku... Denerwujesz się dobrowolnie...

EWA

która stała w progu i słyszała, co mówił Marek, cicho.

Proszę na herbatę...

ANDRZEJ *rad, że im przerwała, bierze go wpół i prowadzi na lewo w głąb.*

Tak tak, chodźmy.

MAREK *całuje w przejściu obie ręce Ewy.*

Wychodzą obaj. Ewa patrzy za nimi, posyłając uśmiech Andrzejowi, który wrócił, aby zabrać lampę.

ANDRZEJ *cicho, całując ją w przelocie w czoło.*
Chodź Ewuś...

EWA *ze spokojnym, smutnym trochę uśmiechem.*
Idę... zaraz...

Andrzej wychodzi z lampą, zostawiając drzwi otwarte, skąd do ciemnej pracowni wpada jasna smuga światła.

Słysząc stamtąd głosy i szczeł naczyń. Ewa podchodzi do pianina i zaczyna grać cichą, miłą pieśń, jak westchnienie. (Pierwsza część 1. nocturnu Chopina op. 9, nr 1, legato, dolcissimo — ze 12 taktów, bardzo miłą i wolno). Z lewej wszystko cichnie — słuchają. Długa chwila. Od tej pieśni w powietrzu zdają się zasypiać wszystkie burze. Ucisza się wszystko. Kiedy Ewa zaczyna grać część drugą

zasłona spada powolutku.

AKT DRUGI.

Skromna jadalnia u Andrzejów, ale urządzona ze smakiem. Meble w stylu lekkiej secesyi, stół na środku, na nim nakrycie do obiadu. W głębi między oknami, które zasłaniają koronkowe firanki, stoi mały, zgrabny kredensik, z lewej w rogu mała, narożna kanapka, z lewej z frontu szafka z bielizną. Pod lewem oknem maszyna do szycia. Z prawej drzwi do pracowni, z lewej w głębi do kuchni. Na froncie, t. j. przy czwartej, niewidzialnej ścianie, otwartej dla widzów, ogromna, niska otomana, przykryta kilimem. Przy niej mały stolik z przyborami do palenia. Z prawej w rogu, na samym froncie wysoko pierzyna i poduszkami zasłane łóżko matki, przykryte kolorową, haftowaną włóczkami kapą, od pokoju zasłonięte parawanem.

Pora południowa.

SCENA I.

ANDRZEJ, EWA, MATKA, MAREK, potem JUSTYNA.

Zaraz po obiedzie. Wszyscy siedzą jeszcze przy stole. Z lewej Ewa, obok niej tyłem do widzów Andrzej, z prawej Marek, naprzeciw widzów matka.

ANDRZEJ *Kończąc spokojnym, równym głosem, do Marka.*

....I tak wyrównałem się i pogłębiłem... Raz nareszcie zacząłem pracować na seryo, uczyć się... Uczę się

dotąd jeszcze... Czybyś ty uwierzył temu kiedy!... Ale widzisz — ja teraz dopiero, przy niej, odnalazłem siebie. — Odnalazłem prawdziwy ton duszy mojej, który teraz słyszę bezustanku... To ona mi go śpiewa — moja wajdelotka cudna! *Gładzi Ewę po włosach ze spokojnem rozrzewnieniem, ona podnosi na niego oczy pełne uśmiechów. Andrzej znów z nagłym przyplywem energii przesuną ręką po czuprynie i wstaje.* Ach, Marku! To dopiero jest życie! Nie to, co dawniej, kiedy człowiek szarpał się i burzył — i szukał swojej drogi... i swojego celu... Ja go teraz dopiero znalazłem! Teraz dopiero czuję się sobą! Teraz czuję się u siebie. *Rozciąga ręce szeroko.* Mieć dom! Mieć własny, cichy, święty, mocny dom... Ty nie wiesz, ty nie możesz wiedzieć, co to znaczy... A ja nie wiedział, że mi tego było trzeba, abym urósł, abym się stał... Jam nigdy... *Spogląda na matkę, spostrzega się, urywa.* Widzisz, każdy musi mieć jakiś kościół, gdzieby mógł czołem bić i w modlitwach, jak kadzidło płonąć i spowiadać się i w piersi bić, a moc brać z ołtarzy... Moim kościołem jest... *Urywa, wzruszony, podchodzi do Ewy, staje za jej krzesłem i bierze jej głowę w obie dłonie* Wszystko ty moje... Życie moje, słońce moje, bóstwo moje!

EWA *pokazując mu oczyma Marka, cicho, z lekkim wyrzutem.*
Jędrek...

MAREK *patrzy na nich w zamyśleniu — jakby do siebie.*
Tak więc żyjecie?... *Chwila. Nagle matka rzuca z trzaskiem widelec, odsuwa talerz. Wszyscy drgnęli.*

MATKA.

Mógłby też Jędrus nie bluźnić... Wszystko dobre, tylko obrazy Boskiej nie zniosę!

ANDRZEJ

oddycha kilka razy głęboko, jak ktoś ze snu zbudzony. mruga jeszcze chwilę, jakby nie mógł wrócić do rzeczywistości... Nagle podchodzi do stoliczka obok otomany i podaje Markowi papierosy.

Może zapalisz?...

MAREK.

Dziękuję... Ale... *Patrzy na Ewę pytająco.*

EWA.

Ależ zapal, proszę!

MAREK *bierze i zapala — wstaje, biorę się z Andrzejem wpół i chodzę po pokoju, rozmawiając.*

MATKA.

...Przecież Andrzej nie pali!

EWA *sprzątając.*

Mówiłam do Marka.

MATKA.

A!.. to przepraszam... myślałam... Uczciwa kobieta mówi tak tylko do męża...

EWA.

Ależ mamó...

ANDRZEJ

który nie słyszał, odwraca się nagle, równocześnie.

Co?

MATKA *niewinnie.*

Nie... Nic... ja nie... ja tylko tak, do Ewci... Mówiłam, że trzebaby sprzątnąć ze stołu. *Idąc do kuchni mruczy d. s.* A co mi tam! Róbcie sobie jak chcecie! *Stęka.* Oj! *Ewa dzwoni.*

EWA.

Niech mama nie chodzi, zadzwoniłam na Justynę.

MATKA.

Ona nie przyjdzie! Zobaczysz! Ten tłomok nie zna się na tem.

Wchodzi Justyna.

EWA.

Justyno, proszę sprzątnąć ze stołu.

JUSTYNA *z zakasanyimi rękawami.*

Ale dobrze... czemu nie... dla was to mogę zrobić
Sprząta.

MATKA.

Tylko bez uwag! Nie mrucz mi tu pod nosem!

JUSTYNA *chce odejść z naczyniem.*

MATKA *wola.*

Justyna! Justyna!

JUSTYNA *staje.*

A czego?

MATKA.

Mało jarzyny ugotowałaś! A mówiłam ci, szturmaku jeden, nastaw w blaszanym, w żeleźniaku będzie za mało. Pamiętaj, żeby na kolację...

JUSTYNA.

E, co mi ta o to. Dla was wystarczy a dla mnie nie potrzeba. *Wychodzi.*

MATKA.

A to zwierzę! *Sprząta.*

EWA *sprząta łakże.*

Mamo! Musi być zwierzęciem, jeżeli ją mama tak traktuje. Już tyle razy prosiłam mamę, żeby nie mówić do niej tym tonem. Przecież to człowiek!

MATKA.

Ona!

EWA.

No, to trzeba się starać zrobić ją człowiekiem. A jak mama będzie zawsze...

MATKA.

Więc cóż? Mam ją może w rękę pocałować i prosić, aby była łaskawą...

EWA *z westchnieniem*

To nie, ale... *Patrzy na mężczyzn.* Proszę, nie mówmy już o tem, Marek jakiś weselszy, nie chcę, aby się zdenerwował. *Podchodzi do nich.* O czymże?... Ja do Stacha, zaraz wracam... *Wychodzi.*

MATKA.

Nauki... proszę!... *Mruczy, siada pod oknem, ceruje pończochy.*

ANDRZEJ

prowadząc Marka na front i sadzając go na otomanie.

Tak, mój drogi... I tybyś się przy nas wyrównał, uspokoił... odżył... *Uderzając go po kolanie.* E, bo wiesz co, chłopie, zostań ty tutaj! Wyszukamy ci mieszkanie gdzieś niedaleko... będziesz żył z nami... ogrzejesz się przy cieple naszym... *Serdecznie.* No co?

MAREK *po chwili.*

Nie nie... Daruj, ale to być nie może, *wstaje.* Ja za smutny dla was jestem, za... Mógłbym czasem rzucić

cień... *Chodzi. Zresztą, i dla mnie to miasto... Te wspomnienia... Nie, nie, wyjadę stąd, wyjadę... Siada znowu. Pocom ja tu przyjechał! Zastania twarz rękami.*

ANDRZEJ.

Marku! no, Marku!

MAREK.

Biegłem do was, jak do swoich — po ratunek, po pociechę, po... czy ja sam już wiem poco, a teraz... *Zrywa się Gorzej mi jeszcze! słyszysz, gorzej! Myślałem, że przy was znajdę spokój! biegłem do was, jak się biegnie do słonecznego pokoju, kiedy nam zanadto straszno... Odetchnąć, odpocząć z przymkniętymi oczyma, pozwolić się grzać słońcu... A teraz...*

ANDRZEJ.

A teraz, Marku?

MAREK *namietnie.*

Wasza miłość, wasze szczęście drażni mnie, dusi, dławi! Uciekać, ach, uciekać! *Siada przy oknie po chw. Zresztą — nie! Nie mógłbym zostać u was. Za wiele o mnie wiecie. Zdawałoby mi się ciągle, że chodzę wśród was, udrapowany w mój ból, jak w melancholizny płaszcz Almaviva... Ach... Nie, nie... Ale gdzie pójdę? gdzie? co z sobą zrobię?*

ANDRZEJ *posmutniał, spuścił głowę. Chwila ciszy.*

MATKA *nagle w ciszę wpada obcy jej, twardy głos.*

Pracować panie, pracować! *Sentencyonalnie. Praca, to jedyne lekarstwo na wszelkie zmartwienia. I ja także po śmierci mego nieboszczyka... Wzdycha, kiwa głową.*

ANDRZEJ *nierad, wstaje.*

E, kiedy bo mama...

MAREK *ze spuszczoną głową j. d. s.*

Pracować... ba... pracować... Żeby to tak zdrowa, krzepka, fizyczna jakaś praca... Tak — w polu na przykład... Ale ja... Próbowałem... Ale moja praca... *Kiwa ręką* To także męka. *Pauza.*

MATKA *znów p. ch.*

I, co tam panu! Czy tak, czy tak ale przynajmniej wie pan, że pan ma jutro co jeść... Niema zmartwienia, póki jest jeszcze co do gęby włożyć.. Ale jak ja zostałam, wdowa, sama... A tu nic, choć kamień gryź, albo do dzieci na służbę idź... Bo cóż — przejeść tą trochę, com dostała, to potem co?... Poszłam też, poszłam na chleb do synka, pieniądze mu swoje, wdowi grosz, oddałam, zaufałam, a on co? Zjadł! przepuścił, dzieciom swoim dał, a mnie z torbami puścił.. Kiedyś się o tem dowiedziała, to mówię panu — przecie Bóg na mnie ciężkie krzyże zsyłał — przecie męża i dziecko straciła — ale mówię panu, nigdy mnie taki żal nie zdjął, jak wtedy. Jak nie rymnę o ziemię, jak nie zacznę... *Pociąga nosem.* E, co tam i przypominać. *Kiwa ręką.* Przeniosłam się tutaj. A tamten niech się mojej krzywdy naje — niech się nią udławi! *Szyje gwałtownie, rozżalona.*

MAREK

zaciekawiony, staje nad nią, chce ją wyciągnąć na słówka.

To mąż pani zostawił jednak coś?

ANDRZEJ *nierad.*

Daj pokój!

MAREK.

Pozwól — mnie to zajmuje.

ANDRZEJ *wygląda przez okno.*

MATKA.

A, gdzie tam. To była tylko taka mała odprawa, dostałam tam parę setek od pana hrabiego, gdzie mój mąż był urzędnikiem... Mąż mój nie zostawił nic... Złamanego szeląga mi nie zostawił — *Nagle, ożywiona.* A miał! Przysięgłabym, że miał! *Tajemniczo.* Pod poduszkę, widziałam, schował na parę dni przed śmiercią... Widziałam! jak pragnę zbawienia duszy! Konał jeszcze a ręką sięgał... Da mi, czy nie da? myślałam. O, jakżebyś się modliła wtedy za jego duszyczkę! Zrobiłam wtedy ślub co piątek do końca życia suszyć... Ale nie! Uwziął się i nie dał! Kiedy już zeszywniał, biedaczek, klękałam przy łóżku, pomodliłam się, *pobożnie składając ręce* oczy mu zamknęłam — sięgam pod poduszkę a tu nic, nic! A przysięgam! Nikt nie wziął tylko Teresa! Pożegnać się z nią chciał, a kiedy przyszła, zamknęli się i pewnie od niego wtedy te pieniądze wyłudziła... Moją należytość, moją spuściznę!... Ta!... *Grozi pięścią, popłakuje.*

MAREK.

A któż to ta... Teresa?

MATKA.

Krewna męża — taka tam, daleka... O, żeby jej!...

ANDRZEJ.

Mogłaby już mama... Wzięła, no to wzięła... i cóż teraz...

MATKA.

Na pogrzebie, to mówię panu, welon założyła taki,

że się aż po ziemi włókl — a ja w mojej starej, zniszczonej kapotce musiałam iść obok tej — tej!... bo nawet na żalobę nie było! *Popłakuje.* Mówię panu, myślałam, że się z żalu zaniosę! Trzy razy na cmentarzu zemdlalam.

MAREK.

Hm... *Szarpie brodę.* Andrzej niecierpliwie chodzi po pokoju.

MATKA.

O, ale cudza krzywda nie tuczy! Spotkałam ją tu kiedyś — naturalnie, żem się od niej odwróciła. Stałam na ulicy, plunęłam przed nią — ot tak — odwróciłam się i odeszłam. W nędzy jest — mówię panu — ta sukieneczyna na niej, ten kapelusz — Boże! Tyle mego! O, popamięta ona, że jest Bóg, który karze! Skonać nie będzie mogła ta... ta... wszyscy przecież wiedzieli... a ja, głupia, wierzyć nie chciałam... wszyscy wiedzieli, że... że ona i mój mąż... ha! wszyscy mężczyźni to ..! *wzdycha, macha ręką.*

ANDRZEJ

zrywa się nagle, przyskakuje do niej, blady, z zaciśniętymi zębami.

Niech mi matka... Niech mi matka pamięci ojca nie brudzi... *Oddycha ciężko.* Słyszysz mama? wszystko zniosę! Tylko... *Stoi nad nią chwilę... potem nagle, nie mogąc zapanować nad sobą, wybiega na prawo, trzasnąwszy drzwiami.*

SCENA II.

MATKA I MAREK.

MATKA *zdziwiona, naturalnym tonem, p. ch.*
A jego co ukąsiło?... Obraził się?...

MAREK.

Hm... *Chodzi, skubiąc brodę.*

MATKA.

Wszyscy w tym domu ciągle obrażają się na mnie. *Pociąga nosem.* Wszystko, co zrobię — źle — wszystko, co powiem — źle... Sama już nie wiem, co mówić i jak mówić. *Rozczuła się.* Ale nie potrzebują mi tak ciągle dawać uczuć, że im jestem ciężarem... I tak już umrę niedługo... Stara jestem... umrę... nie bójcie się!... umrę... *Z nagłym przyplywem żalu.* A, żeby się już raz Pan Bóg zlitował i zabrał z tego świata! *Placze.*

MAREK *siada naprzeciw niej na sofie i przygląda się jej.*

No no...

MATKA.

Ewcia się obraziła, Andrzej się obraził, nawet Justyna się obraża... No i co ja mam robić, panie, co ja mam robić? Łba sobie przecież nie ukreczę... Przecież ja tylko dla nich... przecież ja chcę tylko ich dobra...

MAREK.

Tak... tak... wierzę...

MATKA *placze.*

Od rana do nocy, jak ten wół... Kości nie czuję... Mówię panu, że jak się wieczór spać kładę, to jakby mnie kto kijem zbił...

MAREK.

Tak... tak... wierzę... wierzę...

MATKA *ośmielona tem.*

Darmo nie chcę chleba jeść... za dwie sługi robię, nie za jedną... A tu takie pożałowanie, taka wdzię-

czność... *Placze naprawdę, cicho. Pies by tu lepiej miał, jak ja...*

MAREK.

Żal mi pani...

MATKA *coraz więcej jego współczuciem rozczulona.*

Nie pasuję ja do nich, oj nie... Ale com ja winna temu, no com ja winna? *Zalamuje ręce, — z nagłą rozpaczą.* Myślałam już nieraz, że się uśmiercę albo co!

MAREK.

Nie trzeba tak mówić, proszę pani.

MATKA.

Ech, panie! życie mi już obrzydło! *Chce wyjść.*

MAREK

zastąpiwszy jej drogę i pochylając się nad nią z zagadkowym uśmiechem.

Nie trzeba tak mówić proszę pani... *nagle tuż nad nią.* Zrobić tak trzeba! *Prostuje się, spoważniał, patrzy przed siebie ogromnie smutnym i surowym wzrokiem.* Tego się nie mówi, to się robi! Komu źle, kto niepotrzebny... Tak... tak!... *Nachyla się nad nią znowu.* Toby dopiero była dla nich kara... co? Toby była kara! *Śmieje się cichym, zduszonym śmiechem.*

MATKA *która patrzyła na niego w osłupieniu.*

Jezus Marya! Jezus Marya! Wszelki duch Pana Boga chwali! A pan co?

MAREK *mruga oczyma, wkłada monokl.*

Nic — radę daję, na jaką mnie stać...

MATKA.

Ależ to grzech! To grzech panie! Bo człowiek przecie..

MAREK *z galgenhumorem.*

Bo człowiek jest, jak stolarz... raz jest a drugi raz go niema.

MATKA *zła.*

E, kiedy bo pan... z drwinkami... Ja mówię jak do człowieka... A pan!. *Innym, naturalnym tonem.* E, daj mi pan pokój! To wszystko są romanse... a tu jeść trzeba. Ot — to jest prawda. Idę powiedzieć Justynie, żeby robiła podwieczorek. *Wychodzi na lewo.*

SCENA III.

MAREK *potem* ANDRZEJ.

MAREK *chodzi po pokoju, paląc.*

Hm... hm...

ANDRZEJ *zagląda, czy matki niema, wchodzi.*

Niema jej? Ach! żebym ja już raz mógł nie patrzeć na to, nie widzieć, nie słyszeć, żeby to się raz odczepiło odemnie! To jest brzydkie — to jest takie... takie... mm... *Gest odrazy.* I to tak całe życie! To się wściec można. *Rzuca się na sofę, zakładając ręce pod głowę.*

MAREK *strzepując papierosa.*

Tak... tak... *Zamyślony.* Tak więc żyjecie...

ANDRZEJ.

Tak żyjemy, ot widzisz jak żyjemy! a jak żyliśmy — a jak moglibyśmy żyć... *Marzy. Milczenie.*

MAREK.

...A jednak jest w tem wszystkim coś nienaturalnego.

ANDRZEJ *szyma się.*

Eh!

MAREK.

Robi to na mnie wrażenie, jak gdyby matka twoja umyślnie cię drażniła.

ANDRZEJ.

A czy ja wiem? Ja już sam nie wiem nic. Wiem tylko, że mi jej obecność, jej szara przyziemna myśl życie truje... A takie było śliczne, takie cudne — to nasze życie we dwoje! Takeśmy tu sobie ślicznie, ci-chutko żyli! A te wrażenia, te uniesienia... a te rozpędy, co się tu we mnie brały niewiadomo skąd, z tych czterech ścian... Wiesz? nigdy nie namalowałem tyle, co w ostatnim roku! O, te kąty, te drogie nasze kąty. Z każdego z nich, idą na mnie fale życia i siły... To ona pachnie tu wszędzie. Dusza jej. *Marzy.* Nieraz patrzyłem na nią ukradkiem, kiedy siedziała przy stole, szyjąc, a światło lampy błogosławiło jej głowę ciepłymi blaskami... I modliłem się do niej — i dziękowałem Bogu, że ona tu siedzi, że na nią patrzę — że ona jest! Dziękowałem za każdy ciepły ton w skręcie włosów, za każde zgięcie szyi, za każde... A teraz... Oh, Marku! Szaro zrobiło się u nas... *Odwraca się do ściany t. j. do widzów.*

MAREK.

Ja doprawdy nie rozumiem ciebie. Czy się Ewa zmieniła?

ANDRZEJ.

Ona?!

MAREK.

Czy się mniej kochacie?... No widzisz. Przecież matka, przecież cała ta szarość i pospolitość jest po za wami — rozumiesz? Ja tu tragedyi nie widzę. Szczęście jest w was! W was samych!

ANDRZEJ.

Oh! Latwo to mówić tobie. Ale przecież to psuje życie.

MAREK.

Nie daj go sobie psuć! Otóż to! nie daj! Walka o szczęście? tem lepiej! tem lepiej: Gdyby to dla mnie o taką stawkę chodziło... Gdybym, tak jak ty, miał... Ah, jabym... Aleś ty słaby... Taki gwałtowny... Tak po dziecinnemu ulegasz każdemu, pierwszemu lepszemu wrażeniu, tak łatwo tracisz samego siebie..

ANDRZEJ.

No tak... cóż robić, taki już jestem.

MAREK.

Ewa spokojniejsza. Silniejsza.

ANDRZEJ.

Tak... Ewa...

MAREK *przysiada się na rogu sofy.*

Słuchaj-no... Czy ci czasem nie przychodzi do głowy, że życie tutaj i dla matki twojej stało się nieznośne?

ANDRZEJ.

Być może... I jej ciężko... Ale cóż ja na to poradzę... I pomyśleć, że ona mnie wychowała... Że ja całe dzieciństwo spędziłem przy niej... Czy też ona zawsze była taka, czy też ja dopiero teraz to widzę... Jakżeśmy daleko odbiegli od siebie! jak daleko! *Zamyślony.*

MAREK.

Życie cię wychowało, uszlachetniło... Ewa...

ANDRZEJ *odwraca się ku niemu rozjaśniony.*

A tak... Ewa... Kiedyśmy się poznali, ja byłem je-

szcze taki parobek... Taki rozmachany, rozhukany żrebak...

MAREK.

Talent w tobie był! rozmach! siła!

ANDRZEJ.

Tak... Ale taki byłem przytem nierówny, taki niezrównoważony, dziki... ona mnie ugłaskała... ona mnie oswoiła... Z ręki już jadam... *Uśmiecha się do myśli swoich.*

MAREK *przygląda mu się badawczo.*

Jaka jednak w tej kobiecie jest moc... Sama myśl o niej uspakaja cię...

ANDRZEJ.

Ona taka słodka, taka łagodna... Ptaszyna moja cicha...

MAREK.

Nie — raczej jest w niej mocna, choć głęboko ukryta namiętność.

ANDRZEJ.

Ona?... *Śmieje się.* Jakże jej nie znasz! Ah, Ewa! To też byłem już zupełnie, zupełnie człowiekiem, kiedy matka... Oh! ona mi wszystko! ona mi radość życia, ona mi dom cały zepsuła, zniszczyła! Spokój, dom, to czyste, duchowe piękno, które mi Ewa w dom wniosła... wszystko!

MAREK *badawczo.*

Mówisz o niej tak, jak gdybyś jej nienawidził...

ANDRZEJ.

Życie mi zepsuła!

MAREK *wstaje.*

Nie masz racyi... To biedna, stara kobieta... Ona nawet zła nie jest...

ANDRZEJ.

Tosamo zawsze powtarza mi Ewa... Ale cóż mi z tego? Wolalbym, żeby była zła... Mógłbym ją nienawidzić swobodnie, a tak...

MAREK.

A tak?... *Milczą. Marek po chw. staje nad nim. Słuchajno... Zauważyłem w niej wielkie przygnębienie... Udując, że na niego nie patrzy, śledzi go krótkimi, badawczymi spojrzeniami. Wzrok jego ostry jest i przenikliwy, jak strzała. Żal mi jej...*

ANDRZEJ *mruczy*.

I mnie jej żal — ale cóż ja poradzę...

MAREK *j. w.*

Taka zniechęcona do życia... taka zmęczona, stara kobieta... Ona się czuje niepotrzebną wśród was... *Nagle.* Wiesz, boję się... czyś ty nie pomyślał o tem... Boję się, aby kiedyś, w przystępie szaleństwa... albo choćby chcąc wam zrobić na złość... Takie rzeczy zdarzają się...

ANDRZEJ.

Żeby co?

MAREK.

...nno... żeby... *Patrzy na niego badawczo.* Żeby kiedy nie popełniła... samobójstwa!

ANDRZEJ

zrywa się na równe nogi i siada, patrząc na niego. Co?!.. co! Czyś oszalał?

MAREK.

Ja nie wiem... ale mam jakieś złe przeczucia... Ona mi się nie podoba...

ANDRZEJ *oddycha kilka razy głęboko, próbuje się śmiać.*

Haha! Co ci znów przychodzi do głowy! — Jakżeś mnie przestraszył! Czy co mówiła do ciebie?

MAREK.

No... nie... nie wyraźnego nie mówiła... Ale dawała mi do zrozumienia... Tyle razy wspomina o śmierci...

ANDRZEJ.

E, to jej zwyczaj... Na to zważać nie należy... Przyzwyczaiłem się już do tego... Ale jakżeś mnie przestraszył! Ja myślałem, że to coś na seryo! Ej, ty, ty! *Śmieje się nieszczerze.* Także pomysł! *Wstaje i klepie go po ramieniu.* Ty wszędzie widzisz tragedye! Ej, ty, ty... dramaturgu!

MAREK *zbladł, patrzy na niego, p. ch.*

Ot... to! Otóż to! otóż to, mój drogi! Jakżeś trafił! Jakżeś ty dobrze trafił! *Kładzie mu obie ręce na ramionach i patrzy prosto w oczy rozszerzonymi, tragicznymi oczyma.* Instynktem trafiłeś! genialnym instynktem! w samo serce mojego nieszczęścia.

ANDRZEJ *usiłując się uwolnić od niemiłego wrażenia.*

Dajże pokój... dajże pokój, Marku! Nie rozumiem, doprawdy... Przedziwne miewasz pomysły... Ja cię doprawdy nigdy nie mogę przejrzeć tak do głębi... *Z nagłą tkliwością.* Co się to snuje w tym biednym, chorym, zmęczonym mózgu... *Marek zamyka oczy, jest trupio błądy.* Oj, biedaku, biedaku... *Nagle.* No, otrząśnij się z tego! Trzeba, trzeba się otrząsnąć! No masz w sobie przecie dosyć siły życia! no!

MAREK.

Tak... tak... na nieszczęście... *Oddycha głęboko.*

ANDRZEJ.

No chodź, pójdziemy się przejść! *Wygląda przez okno.* Trochę się zachmurzyło, ale to nic! Rozerwiesz się trochę, zobaczysz ludzi...

MAREK

Nie chcę ludzi! nienawidzę ludzi! *Wchodzi z prawej Ewa.*

SCENA IV.

ANDRZEJ — MAREK — EWA.

ANDRZEJ *udając wesołość i swobodę.*
Ewuś, chodź z nami! Przejdziemy się!

MAREK.

Ja nie... nie chcę iść między ludzi... Nie chcę ich widzieć... wyjdę wieczorem. *Uśmiecha się.* Przyjechałem tu incognito..

EWA.

Nie nalegaj, drogi. To go drażni. Zostań Marku.

ANDRZEJ.

No... nie nalegam... Ja wyjdę... Muszę wyjść... głowa mnie boli. Zdenerwowany jestem. A ty Ewuś?

EWA.

Nie, kochany — i ja zostanę. Stasia zaledwie uspokoiłam, a wolę zostać... mam go na oku... Zresztą... *Wygłąda na niebo.* Zachmurzyło się... Lada chwila deszcz spadnie.

MAREK.

Bo jeżeli się Ewuś mną krępuje...

EWA.

Nie, nie...

ANDRZEJ.

Jak chcesz, kochana. No to ja pójde do kawiarni. Zobacze się z Kopfem. Może sprzedał mój «Orkan». Dowidzenia. *Całuje ją.* Ty moje słońce. A rozpędź

chmury z czoła tego «dramaturga.» Dowidzenia! Przyjdę za jaką godzinę albo półtorej. *Wychodzi na prawo.*

EWA wychodzi za nim na prawo, woła za nim.
Jędrus, a weź parasol! Zaraz wraca.

SCENA V.

EWA I MAREK.

Milczą. Ewa siada przy maszynie i zabiera się do szycia. Marek chodzi.

MAREK p. ch. aby coś powiedzieć.

...Więc Stach śpi?

EWA kina głową z uśmiechem.

MAREK.

Wygodna taka osoba, która tak ciągle śpi...

EWA j. w.

Tacy wielcy ludzie potrzebują snu dużo.

MAREK:

A w jakim-że wieku...?

EWA.

Czternaście miesięcy!

MAREK z podziwem.

No no! Znów milczenie. Marek chodzi, Ewa szyje na maszynie. Maszyna? Wczoraj tu nie było maszyny?

EWA.

Andrzej ją tu przyniósł rano. Bał się, że panu hałasować będzie nad uchem.. Stąd mniej słyszeć!

MAREK.

Aha! *p. ch. staje.* Ewuś... czyby pani nie mogła przestać szyć na chwilę?

EWA *przestaje szyć.*

Drażni to pana? *Szyje w rękę — p. ch.* A Marek nie mógłby przestać chodzić?

MAREK *siada naprzeciw niej, z bladym uśmiechem.*

To mnie uspakaja. Wie pani, to już taki mój los... tłuc się jak Marek po piekle...

EWA.

Marku!

MAREK.

...Czy pani nie czuje, że jest w powietrzu coś takiego... coś dziwnego.

EWA.

Parno jest trochę, jak zwykle na wiosnę.

MAREK.

Tak.. Krążą wtedy w powietrzu takie dziwne, nieuchwytnie a mocne prądy... Czasem zdaje mi się, że się aż uderzam o nie... Zwłaszcza podczas takiej wiosennej ulewy... Ziemia wzdycha... Deszcz nawet nie uspakaja jej, ale roztesknia i rozdrażnia... Tak, tak, wiosna...

EWA *kładzie ręce na maszynie, patrzy przed siebie z uśmiechem szczęścia, zatopiona w sobie.*

Wiosna...

MAREK.

Kiedy patrzę na panią, doznaję uczucia, że i pani jest, jak ona.

EWA.

Jak wiosna?

MAREK.

Jak wiosna — jak ta ziemia — rozkochana — oddana i zawsze tęskniąca, a nigdy niesyta. Tak tak, zdaje się że ja panią znam lepiej.

EWA.

Od Andrzeja?

MAREK.

Od wszystkich. Ale pani bardzo skryta. Nawet dla niego.

EWA.

Nie wiem. Nie chcę nią być. Kocham go — kocham go wszystkim, co jest we mnie. To wszystko, co wiem i co mnie obchodzi.

MAREK *cicho.*

Tak bardzo go kochasz? Jak to jest — być tak bardzo, tak bardzo kochanym? *Zamyślony.*

EWA.

Przy nim, przez niego zaczęłam żyć dopiero pełnem życiem, całym życiem, do jakiego jestem zdolna. Kocham go. Kocham tę miłość naszą — taką cudną — taką pełną — taką wielką i bożą!

MAREK *jak do siebie.*

Mój Boże! mój Boże!

EWA

Pan nie wie, Marku — pan nie może wiedzieć, nikt nie może wiedzieć, jak wielkie jest to, co nas łączy. To jest jak pieśń i jak grom — jak burza i jak modlitwa... To jest nieogarnione i święte, jak Bóg!... O gdybyś wiedział — gdybyś ty znał Andrzeja... gdybyś mógł go znać tak, jak ja go znam! Ja jedna! Tę prostą, dziecinną, rozmodloną duszę... Mówią, że miłość

jest ślepa. A ja powiadam, że jasnowidząca jest! Ona tylko jedna naprawdę, prawdziwie widzi! Ja widzę duszę Jego. Za to go kocham. Za to niebo, po którym z nim chodzę... za tę poezję, za ten czar, w którym chodzimy oboje, jak w słońcu!

MAREK.

Dzieci słońca!

EWA *wzruszona.*

Ja... ja panu tego nie umiem powiedzieć... ale... Kiedyśmy się pokochali, zdawało mi się, że nas oboje otacza jakaś mgła różana, która nas dzieli od wszystkiego co tam, na dole... Reszta ludzi była po za tą mgłą, gdzieś daleko... Otóż tę mgłę czuję dodad dookoła nas... On mi jej dotąd nie rozerwał, nie zdmuchnął... Ja dotąd ciągle jak w ślubnym welonie chodzę... Spojrzenie jego, rozmodlone, nie zbrudziło mi go... Dotknięcie jego zawsze czci mnie, jak świętą. Czysta się czuję i boża. Za to ja go tak kocham. Za to. Rozumie pan? *Milknie wzruszona.*

MAREK.

Tak, tak... A jednak... *Patrzy na nią długo. P. chwstaje nagle prawie brutalnie,* Ewuś, niech mnie pani wypędzi ze swego domu!

EWA.

Bo co?

MAREK.

Bom ja nie tak czysty, jak wy. Bo ja wam przyniosę nieszczęście.

EWA *kręci głową z uśmiechem.*

Nam nic nie może przynieść nieszczęścia.

MAREK.

Ja jestem zły człowiek. Budzą się we mnie jakieś złe, drapieżne instynkta.

EWA.

Biedny Marku!

MAREK.

Ja... ja nie mogę patrzeć na cudze szczęście. Na wasze szczęście.. Wczoraj na widok miłości waszej ogarnął mnie szal! Byłbym gryzł wszystko, jak wściekły pies! Dziś mi lżej. A wie pani? dlaczego mi lżej? *patrzy na nią*. Bom zobaczył — Bo widzę jednak, że i wy zupełnie szczęśliwi nie jesteście... Bom zobaczył na waszem szczęściu cień...

EWA *kręci głową z uśmiechem*.

Cień?... Andrzej mnie kocha, dziecko zdrowe...

MAREK.

A matka? Przecież to — duch ziemi! Proza życia! Wróg!

EWA.

Biedna kobieta! żal mi jej! *zaczyna szyc*. I mnie ona ciąży, to prawda... Ale ja jestem cierpliwa... To trudno, czemś za szczęście zapłacić trzeba...

MAREK.

Gdyby to jednak była cena za droga?

EWA *spokojnie i mocno*.

Nie... to zależy od nas... To zależy tylko od nas... Zobaczy pan.

MAREK.

O, ja wiem — pani zawsze pewna zwycięstwa... Ale — to jest, jakby mała maciupenka plamka na pię-

knym, zdrowym owocu waszego szczęścia. To robak. To taki mały, śmiesznie mały i marny robaczek, co siedzi wewnątrz i toczy owoc... Toczy, toczy, toczy bezustanku, żmudnie, pracowicie, aż cały owoc zamieni się w próchno!

EWA *cicho, z mocą.*

Ha, jeżeli tak, jeżeli spostrzegę, że to tak, gdyby mi to kto kiedy miał zbrudzić... *Z mocą.* Ja tego sobie odebrać nie dam! Rozumie pan? To moje! To moje wszystko! nie dam!!! mego domu, mego szczęścia, nie dam! Walczyć będę! I zwyciężę! Ja zwyciężę zawsze! Ja muszę zwyciężyć! *patrzy przed siebie groźnie, oddychając mocno.*

MAREK.

Ale jak? jak to pani zrobi?

EWA *zamyśla się.*

Nie wiem... nie wiem jeszcze... sama nie wiem... Ale wiem, że Andrzeja bronić będę... bronić na życie i śmierć! *ściąga brwi surowo.*

MAREK *cicho.*

Walczyć będziesz?

EWA *cicho a mocno.*

Jak o słońce, jak o życie, jak o myśl własną!

MAREK

siada, ukrywając twarz w dłoniach, szepcze śpiwnie jakby zawodził.

Szczęśliwy Andrzej... Szczęśliwy Andrzej...

EWA *z prostotą.*

Gdyby powiedział: chodź, Ewuś, rzućmy świat, w którym żyliśmy dotychczas — jedźmy na kraj

świata, na mękę, na trud, na nędzę — poszłabym z nim. Gdyby powiedział: Ewuś, źle mi żyć, świat jest za brzydki dla nas — umrzyjmy razem... umarłabym z radością. Wszystko zniosłabym dla niego — nawet śmierć — nawet — hańbę.

MAREK *zawodzi*

Nawet śmierć, nawet hańbę... O! o! o!

EWA

upojona własnymi słowami, wyciąga przed siebie ręce, z uśmiechem.

Gdyby powiedział... Ewuś moja, daj mi te twoje młode, białe ręce... obciąłabym je... Gdyby powiedział... daj mi oczy, tę radość życia naszego... oddałabym je...

MAREK *stojąc nad nią.*

A gdyby powiedział... Oddaj mi twoje włosy... te cudne, płomienne włosy... *głaszcze je delikatnie*

EWA.

Oddałabym je także... *uśmiechają się do siebie.*

MAREK *nachylony nad nią.*

Ewuś... złota... złota Ewuś... A może to w nich jest ta siła... Samsonowa siła?

EWA *j. w.*

Może... *z lewej słyhać lekki trzask, jakby skrzyp podłogi. Co to? oglądają się oboje.*

MAREK.

To nie... Ktoś przechodził pewnie przez korytarz... Ewuś się zlekła?

EWA.

EWA.

Ja? alboż jestem tak lękliwa? *uśmiecha się.* W domu mojej matki wszystko tak jęczało i trzeszczało... tam na wsi, pamiętasz? Nieraz mówiliśmy, że po starym dworze chodzą duchy...

MAREK.

Co się też to dzieje teraz z ogrodem, z dworem...

EWA *z westchnieniem.*

Wolę nie wiedzieć o tem... *szyje.*

MAREK.

Jakeście wy to cicho żyły w tem starem domisku... We dwie z matką... Matka chora, głucha... Pani młoda i piękna... Ciche i smutne miałaś dzieciństwo, Ewo...

EWA.

Ciche — tak... Ale smutne? nie!

MAREK.

Chodziłaś po tym ponurym, zacienionym parku, jak zaklęta królowa... Zawszem cię tak nazywał dawniej, pamiętasz?

EWA *uśmiecha się.*

MAREK.

Taka byłaś przeczysta zawsze, taka w sobie samej zasłuchana, taka przedziwnie przesubtelna, taka... taka nietykająca ziemi... Ja nie śmiałem prawie patrzeć na panią, rozmawiać z tobą, choć znaliśmy się od dziecka... Nikt nie śmiał... Aż nagle Andrzej wpadł, jak burza, jak wichura i porwał panią z sobą... Pamięta pani ten dzień, kiedy go przywiozłem do Wroniec?

EWA *przestaje szyc, kina głową zamysłona, z uśmiechem.*

MAREK.

Wie pani... Nieraz myślę, że wyście byli dla siebie stworzeni. On taki wiatr na stepie — pani — taka biała, cieplarniana lilijka... Ja rozumiem, że go pani kocha tak bardzo... Pani w nim kocha to światło, co tak nagle wtargnęło do twego cichego, zamarłego życia... Pani w nim kocha ten pęd... ten rozmach... tę młodość, której pani nigdy nie miała... Żyła pani, jak w pudełku, zamkniętem ze wszech stron, gdzie powietrze zatechłe i stojące, jak woda w stawie... A on otworzył pani wieko, porwał z sobą i powiedział: leć!.. Czy nie tak?

EWA *j. w.*

Może... Czy ja wiem?... może.

MAREK.

Choć — wie pani, ja panią wolę teraz. Więcej jest pani człowiekiem. Dawniej myślałem nieraz, że pani w niebo uleci... *patrzy na nią badawczo.* Myślę jednak, że się mylił — żeśmy się mylili wszyscy... Co do pani. Pani tylko z pozoru taka cicha jest i taka... lilijkowata... *Ewa uśmiecha się.* W gruncie jest pani ogromnie mocna, zacięta i... namiętna. *Ewa spogląda nań bystro. Przez chwilę mierzą się wzrokiem.*

EWA.

A! *Patrzy nań chwilę poważnie. Potem spuszcza oczy na robotę.*

MAREK *zaczyna chodzić, mierząc ją krótkimi spojrzeniami z pod oka.*

Tak tak... Takie natury najgorsze... najzaciętsze... najbardziej skupione w sobie... Teraz myślę... Jakie

w pani wtedy walki musiały być... jakie bunty! Co? prawda? A Andrzej... Andrzej może dotąd nie poznał pani dobrze? może nie wie, że pani taka?

EWĄ z uśmiechem, zajęta robotą.

Może...

MAREK *ciągle teraz zdejmuje i wkłada monokl nerwowo.*

On taki zaślepiony, dziecinny... Co, prawda, że dziecinny?

EWĄ i. w.

Dziecinny.

MAREK.

A gdyby wiedział... co, jak pani myśli, gdyby tak wiedział? Może... On w pani kocha ten wdzięk, tę pańskość, tę dystynkcyę, której mu brakło w domu... Tę liliowość pani niepokalaną, dziewiczą... A gdyby tak wiedział, że pani taka... gdyby tak znał duszę pani przedtem... tę dumną, zbuntowaną duszę...

EWĄ *patrzy na niego poważnie i głęboko.*

MAREK.

Gdyby mu tak ktoś powiedział, jaka pani jest, jaka pani jest w gruncie, naprawdę... to... Jak pani myśli, czy nie przestałby ubóstwiać tak pani? wierzyć w panią?

EWĄ. j. w.

MAREK *patrzy jej także chwilę w oczy, potem miesza się i kurczy pod jej wzrokiem.*

Co? chciała pani powiedzieć, że... Pani jest... o tak, miałem słuszość, pani jest... *Probuje wzrok jej wytrzymać. Nagle.* Niechże mnie już pani nie męczy tym wzrokiem! Czyż pani nie widzi, że... *Zasłania twarz rękami*

i pada ciężko na sofę, Ewa patrzy nań ze współczuciem. Milczenie.

MAREK *po długiej chwili, cicho, jakby się skarżył.*

No widzi pani, że jestem zły... Tak! zły jestem! Pani nie wie. Przed chwilą starałem się zamącić spokój Andrzeja i usiłowałem wszczepić złą myśl w duszę matki... a teraz chciałem zepsuć pani spokój... Ja jestem ten, co przychodzi i pokazuje: głupcze! twoje słońce, to lampa tylko! Zdmuchnij ją, a zobaczysz... Oh! Niech mnie pani wypędzi ze swego domu! mówię pani, niech mnie pani wypędzi! *Milczenie. P. ch. podnosząc trochę głowę i wlepiając w nią łzami zalane oczy, jak dziecko, które się boi.* Pani Ewo... Ewuś... czy pani myśli naprawdę, że jestem zły? czym ja naprawdę już zły, zły? *Zalamuje ręce.*

EWA *poważnie.*

Niema złych... Są tylko nieszczęśliwi... *Marek chowa twarz w dłoniach, łka cichem, wewnętrznem łkaniem bez łez.* Ewa kładzie robotę, podchodzi do niego, siada obok niego i głaszcze go po włosach, miękko. No, no Marku... No, Marku! Przebacz mi, że mówiła o sobie i że... *Miękko.* Przepraszam.

MAREK

Moja Ewuś! moja złota Ewuś! ty jeszcze nie wiesz wszystkiego... Ja sam jestem winien swojemu nieszczęściu! Ja sam! Bo jestem zły, bo jestem... Ja... Ja z tem nie mogę żyć! Ja nie mogę, nie mogę żyć! Jabym szarpał, kąsał, gryzł... jabym...

EWA.

No... Marku! uspokój się. Ja proszę. Taki jesteś zdenerwowany! No! opowiedz wszystko Ewce... to ci ulży...

MAREK.

Zaraz... zaraz... *Usiłuje się uspokoić.*

EWA *staje nad nim i tuli do piersi jego głowę*
Biedaku... biedaku... *odchodzi z westchnieniem, siada do szycia, milcząca.*

MAREK.

Zaraz... Uspokoję się... To te przekłete nerwy... Tyle nocy nie spałem... Opium zażywałem. Teraz jestem, jak rozbity... *Chodzi usiłując się uspokoić. Nagle. Szyj, Ewuś, szyj na maszynie... To mnie uspokoi. Ewa po chwili zaczyna szyć na maszynie. Marek wygląda przez okno. Długa chwila ciszy. Potem Ewa szyć przestaje. Zupełna cisza.*

MAREK. *po długiej, długiej chwili, zupełnie prawie wyrównany, innym zupełnie, prawie spokojnym tonem.*

Kiedy to Andrzej miał przyjść?

EWA.

Za godzinę lub półtorej.

MAREK.

Deszcz pada... *Pauza. Nagle, stając przed nią. Czy pani wie, co to znaczy... wyobraźnia tragiczna?*

EWA *patrzy na niego.*

MAREK.

Czy pani wie, kto to jest... człowiek o wyobraźni tragicznej?

EWA.

Mów, Marku szczerze... Tak, jak nieraz... Tak, jak dawniej...

MAREK.

To jest... widzi pani... taki człowiek, co wszystko

widzi od wewnątrz... Rozumie pani? Człowiek, co zobaczywszy jakichkolwiek ludzi, znalazłszy się w jakiegokolwiek sytuacji, widzi nietylko to, co widzą inni, to, co jest na zewnątrz rzeczy, ale mózg jego w tej samej chwili wnika w samą głąb... rozumie pani... w sam rdzeń tego, co widzi... obnaża je z faktów przypadkowych i przemijających i z błyskawiczną szybkością wysnuwa z przesłanek, jemu tylko widocznych... dla drugich niewidzialnych, a dla niego tak oczywistych, że aż bijących w oczy... jaknajdalej idące, najskrajniejsze wnioski. Te wnioski ostateczne... te konsekwencje najdalej idące, jakie tylko w danym wypadku są możliwe, uderzają jego spostrzegawczość z taką mocą, że widzi — poprostu widzi to, co się stać może — to — co się — dla niego — stać musi Rozumie pani?

EWA

opiera łokcie na maszynie i patrzy mu prosto w twarz.
Tak.

MAREK.

Taki człowiek ma wzrok zaostrojony, podwójny. Myśli on prędzej niż drudzy. Za prędko myśli. Myślą wyprzedza wypadki. Widzi nietylko teraźniejszość... nietylko w tej teraźniejszości odbijającą mu się przeszłość... ale możliwą, zawsze straszną, zawsze przerażającą jego samego twarz przyszłości. Poprostu, wie zawsze, co się stać może — co się stanie.

EWA.

Przeczenie zatem?

MAREK.

Nie, nie przeczenie — p e w n o ś ć.

EWA patrząc mu mocno prosto w twarz.

Tak. Wiem.

MAREK.

Niech sobie pani wyobrazi człowieka, którego dusza zbyt czujna chwyta z tej tajemniczej sieci przeznaczeń, co nas otaczają, rzeczy, dla drugih niewidoczne, ukryte, którego wrażliwość i spostrzegawczość jest tak wyczulona, że zawsze z tego, co widzi, wie, co będzie. Tragiczna jego wyobraźnia przedstawia mu zawsze najokropniejsze obrazy. To tak np., jak gdyby ktoś miał transparentową malowanąkę: patrzysz tak: jest dom piękny w wesołym ogrodzie, w którym bawią się dzieci i kwitną kwiaty... to dla wszystkich... przejrzysz do światła, a zobaczysz dom w płomieniach, a dzieci z krzykiem uciekać będą lub konać, poparzone. Wszyscy patrzą zawsze na tę zewnętrzną, piękną stronę, ale on musi — rozumie pani — musi — patrzeć na wszystko pod światło. Takie już ma oczy. To tak, jak gdyby miał wiecznie jakieś Roentgenowskie okulary, którymi widzi kościotrupa tam, gdzie wszyscy widzą zdrowego i pięknego młodzieńca.

EWA *zapatrzona w siebie.*

Tak... tak... rozumiem...

MAREK *coraz więcej rozgorączkowany.*

Taki człowiek na obcych patrzy nieraz obojętnie — jak gdyby tracił chwilami ten podwójny wzrok, ten zbyt czujny słuch duszy. Wtedy jest rad, i wesół, wtedy śmieje się wraz z drugimi i jest, jak wszyscy ludzie szczęśliwy, ślepy. Ale jedna chwila, najmniejszy jakiś powiew z wewnątrz niego wystarczy, a myśl jego przerażona, zamyka oczy na obraz, jaki nagle ujrziała.

EWA.

To okropne. Ale myślę, że każdy ma z tego coś... w sobie...

MAREK.

Taki człowiek od dzieciństwa nosi w sobie piekło trwogi. Jeżeli kogoś kocha, drży o niego bezustannie, chorobliwie, a jeżeli go przy nim niema, wyobrażnia jego dręczy go najokropniejszymi obrazami wszystkich nieszczęść, jakie tamtego spotkać mogły. Widzi ukochaną osobę zemdloną, zdruzgotaną, bladą, bez życia, odpędza tę myśl... ona wraca... zajmuje się czem innem... wraca znowu — dręczy go... siada na nim, w mózg mu się wsysa, aż wreszcie wymęczywszy go, wyczerpawszy do ostatka, doprowadza go do szału niepokoju i trwogi! *jakby miał wizję*. Dlaczego ona nie wraca tak długo! — O! Teraz już jest! Już wrócić powinna! Idzie! — Nie, to nie ona! Boże — dlaczego ona nie wraca... dlaczego, dlaczego... O Boże mój! Boże... *krzyczy* Jezus, Jezus Marya!!!

EWA *wydaje także cichy okrzyk.*

Jezus Marya! Marku! *zasłania twarz rękami p. chw.* To okropna, okropna męka! To choroba!

MAREK *ochłonawszy, oddycha głęboko, cicho.*

Tak — to męka — To choroba... wiem — *nagle, nachylając się nad nią z po za maszyny.* Takim człowiekiem jestem ja.

EWA *przerażona.*

Co mówisz, Marku!?

MAREK.

Tak... ja jestem człowiekiem o wyobraźni tragicznej. Dotąd sam nie wiedziałem o tem... Nie zdawałem sobie z tego sprawy. Teraz wiem... *siada i ujmując głowę w obie dłonie kołysząc się na obie strony, jakby zapomniawszy o obecności kogoś drugiego.* Męka... męka... co za męka!

Ja cały rok przeżyłem taki... cały rok... Bo ja wiedziałem... wiedziałem... *p. chw.* Zanadto ją kochałem, zanadto... Tacy ludzie zawsze zanadto kochają. *Milczenie.* Czy się człowiek już rodzi z tem — czy też to przychodzi później — ja nie wiem. Wiem tylko, że ja jestem taki. No — wiesz już teraz?

EWA *szeptem.*

Boże mój, Boże...

MAREK.

Czy pani wie, że ja przeczułem śmierć matki? że ja naprzód już wiedziałem o tem?.. czy pani wie, że... że ja nieraz, że ja zawsze wiem...

Pamiętam, raz... byłem jeszcze dzieckiem prawie, idąc ulicą, zobaczyłem nagle na dachu blacharza, który go pobijał blachą. Serce mi się ścisnęło trwogą tajemną... krzyknąłem i odwróciłem oczy. Byłem pewien, że człowiek ten spadnie! z trzeciego piętra prosto na bruk! Widziałem go już na bruku, z roztrzaskaną głową, a dokoła niego tyle krwi, tyle skrzepłej krwi...! Dlaczego? Przecież tyle razy dotąd widziałem ludzi na dachu a nigdy mi nie przyszła do głowy myśl podobna. Chciałem krzyknąć na niego, aby zeszedł, bo spadnie, bo ja wiem, że on spadnie! Bałem się, że krzyk mój przerazi go. Bałem się patrzeć nań, aby go nie strącił stamtąd wzrok mój! Zamknąłem oczy. Cierpiałem tak bardzo! Gdym je podniósł za chwilę... ten człowiek siedział tam jeszcze. Uciekłem, pędziłem ulicą jak waryat, byle tylko uciec od tej myśli... od siebie samego. Pyta się pani, czy ten człowiek spadł wtedy? Nie, nie spadł, naturalnie, ale ja nigdy już w życiu nie mogłem patrzeć na ludzi, którzy byli na dachu. Uciekałem, bojąc się, aby ich wzrok mój nie ściągnął, aby ich nie zrzuciła moja myśl...

Ale raz kiedym był w Dalmacyi .. to było tego roku,

kiedyście się pobrali... pamięta pani? przypatrywałem się wraz z całym tłumem, jak młody jakiś majtek wspinał się na ogromnie, ogromnie wysoki drąg, zatknięty na wzgórzu, aby na nim zawiesić flagę świąteczną... Człowiek był niezmiernie zręczny i silny i tłum przypatrywał mu się z radosnymi okrzykami. W tej samej chwili, patrząc na niego, doznałem nagle tego samego uczucia, co tam, wtedy, na ulicy... Wiedziałem, że ten człowiek, który robił to przecie tyle razy, spadnie, że spaść musi! Chciałem krzyknąć... głos uwiązł mi w gardle a zanim zdążyłem wypowiedzieć słowo, z piersi tysiąca ludzi wydarł się okropny okrzyk... Zamknąłem oczy... Za chwilę zobaczyłem na kamieniach tego samego trupa z roztrząskaną czaszką, którego widziałem wtedy oczyma duszy. *Opowiada barwnie, gorączkowo, tak jakby widział to teraz.*

EWA *zasłania twarz rękami.*

Straszne!

MAREK *załamuje ręce.*

No niech mi to pani wytłomaczy! Przez kilka dni potem latałem, jak waryat! Długo nie mogłem przyjść do siebie. *Pauza. p. chw.* Czy pani wie, że kiedyśmy się ze Stefą... Ja od pierwszej chwili, kiedyśmy zaczęli żyć razem... ja prawie że od pierwszej chwili wiedziałem, że się tak stanie. Że ona mnie porzuci, że wróci do męża — Rozumie pani — wiedziałem — Dlatego to tak się bałem, tak drżałem wiecznie... bo myślałem... A może to... może tamto... Coś tłukło się wewnątrz mnie i nie dawało mi spokoju. Przecież, kiedym ją poznał, już z mężem nie żyła. Nie znałem go. Mało kiedy mówiliśmy o nim — Raz byliśmy ze Stefą na Morskiem Oku. Stefa pierwszy raz je widziała. Trzeba było widzieć jej zachwyt, jej uciechę... Ona taka we wszystkim świeża była, taka szczera. — *Głos mu się łamie. p. chw.* Wsiedliśmy w tą wielką łódź i przejeź-

dżaliśmy przez jezioro, chcąc dostać się do Czarne-
go Stawu. Wtem chcąc zobaczyć, czy bardzo zimna
woda, zanurzyła w niej rękę, prawą rękę, tę, na któ-
rej miała odemnie pierścionelek... ten... *pokazuje pier-
ścionelek na małym palcu*, pamiątkowy pierścionelek... po
matce... Dałem jej go wtedy, kiedyśmy się pokochali...
i to był nasz ślub... *głos mu się łamie, wsadza i wy-
rzuca monokl*. Włożyła więc do wody rękę z tym pierś-
cionkiem a ja... krzyknąłem. Zobaczyłem... najwyraż-
niej widziałem, jak złoty krążek zsunął się z palca
i wpadł w ciemną toń... och! widzę jeszcze tę okropną
bezdenią, czarną głęb! Chwyciłem ją za rękę a ona,
śmiejąc się, pokazała mi rękę moką z pierścionkiem...
A jednak widziałam jak spadał!

Zapomnieliśmy o tem oboje. Była zima i siedzie-
liśmy oboje w pokoju. Dobrze już było ciemno... Ale
może ja panią nudzę?

EWA *cicho*.

Mów Marku! Nieraz, kiedy mówisz, zdaje mi się,
że to mówię ja sama...

MAREK.

Byliśmy przed chwilą oboje weseli bardzo. Może
nawet podnieceni trochę. Stefa śpiewała. Opuściłem
głowę na wezgłowie sofy i marzyłem. Ale nie spałem.
Nieraz przechodzę stan podobny. Czasem w nocy,
przed zaśnięciem... Taki stan pół snu, w którym ze-
wnętrznych otaczających mnie rzeczy nie widzę prawie
a za to to coś, co we mnie żyje, budzi się we mnie
ze zdwojoną wyrazistością, i widzę wtedy, wprost
widzę, to com przeżył, tylko pełniej i wyraźniej... mo-
cniej jakoś... lub to, co mam przeżyć.

Zobaczyłem więc wtedy Morkie Oko, wracaliśmy
już od Czarne-
go Stawu. Stefa była upojona i zmęczo-
na trochę. Ale dziwnie ją rozbawiło wysiadanie tych

ludzi... uparła się, że wysiądzie ostatnia. Siedziała, śmiejąc się, na samym końcu łodzi, która za każdym razem, gdy ktoś wyskoczył, zanurzała się lekko w wodę. Przypominam sobie najdokładniej, że w rzeczywistości wszystko było taksamo *Opowiada z ożywieniem nerwowo, tak, jakby to działo się w tej chwili. Poprost widzi się to, co opowiada.* Odwróciłem się, aby wyskoczyć, a kiedy postawiłem nogę na pomostku, odwróciłem się do Stefy, chcąc jej podać rękę i... okropność! drugi koniec łodzi był zanurzony w wodzie a Stefy na nim nie było!... Krzyknąłem przeraźliwie i zerwałem się z sofy... a Stefa śmiała się ze mnie. Naturalnie była pewna, że spałem i że mi się to śniło. Ale ja wiem, że to widziałem na jawie. Zresztą i sny bywają prorocze... Nie trzeba lekceważyć snów, nie trzeba... *drży.*

EWA *j. n.*

Wiem... Skąd ja to wszystko wiem, co ty mówisz? Mówisz nieraz coś, jakby wyjętego z dna mej duszy... z tej ciemnej, mnie samej nieznannej głębi...

MAREK.

Od tej pory wiedziałem już, że to się stanie... — *Nagle, nachylony nad nią, parząc ją gorączkowym, chorobliwym oddechem i wzrokiem;* Dać pani dowód, że o tem wiedział? —

Mój dramat, wystawiony w zimie.

EWA *drgnęła.*

Prawda...

MAREK.

Przecież tam jestem ja i Stefa... i nasz wzajemny stosunek... i jej zdrada...

EWA *szeptze,*

Prawda, prawda...

MAREK.

Wtedy już... wtedy przeczułem to... widziałem to i napisałem tak, jak było potem. Prawie tak. A przecież wtedy przeżywałem najpiękniejsze, najradośniejsze chwile. Nikomu, nam samym, ani się śniło... No niech mi pani to wytłomaczy! no niech mi pani wytłomaczy!

EWA. *ze ściągniętymi brwiami.*

Tak... tak... Ja to rozumiem... To jest złe... to jest to przecucie zła, które każdy z nas nosi w sobie... A pan, Marku, czujesz to silniej od drugih...

MAREK *po chw.*

Czy pani wie, że to jest najtragiczniejsza z tragedyi? Ja nie wiem, jak inni... i... co mnie inni obchodzi. Ja tylko wiem, co ja... Zawsze, zawsze rodzi się we mnie ta myśl... ta okropna, zabijająca, mnie samego przerażająca myśl, że to, co jest tak, mogłoby być tak... albo... będzie tak. Żyję... aż nagle uderza mnie coś z ogromną mocą... widzę, jak to może być. I tę moją wizję chwytam i pokazuję drugim i powiadam: patrzcie, co jest! patrzcie, co jest we mnie. Jam nie winien, że widzę tak... dla mnie tak jest! (Bo wszak jestem człowiekiem o wyobraźni tragicznej). To wy widzicie źle! Ach... wie pani... ja miewam nieraz pomysły tak straszne, że sam się ich przerażam. Własna myśl moja cofa się przed obrazami, które sama zrodziła... *zamyśla się.* Z naciskiem Czy zrodziła? Czy też odgadła tylko?... Oto myśl, która mnie dręczy. Wszystkie moje dzieła powstało w ten sposób... wszystkie!... Każde przeżyłem... we wszystkich jestem ja... i tylko ja! Tylko... *staje nad nią, gorączkowo, jak wyżej jak pani myśli.* Ogląda się, jak gdyby się bał. Czy [ja] to wszystko przeczuwam istotnie, czy też...

Gorączkowo, tuż przy niej, z oczyma płonącemi, namiętnie w twarz jej wpitemi, jak gdyby chciał wypić jej myśl z pod czaszki Czy też... bo tego się właśnie lękam... tego się właśnie tak lękam... czy też ja czasem tem, że ta myśl, ta okropna myśl rodzi się we mnie, czy też ja czasem nie sprowadzam tego... Rozumiesz, Ewuś? czy ja przeczuwam to, co się stanie potem, czy też myśl moja, zrodziwszy w samej sobie to tragiczne zakończenie nie podsuwa go... nie zmusza następnych wypadków... nie suggestyonuje... rozumiesz?

EWA *przerażona.*

Jezus Marya, Marku! Jezus Marya!

MAREK

podniecony do najwyższego stopnia, dusząc się prawie.

Bo widzisz... mnie prześladowa ta myśl... że ja sam jestem sprawcą własnego nieszczęścia... rozumiesz? że ta moja myśl wpływa i każe drugim... rozumiesz? Że, gdybym ja wtedy o tym człowieku nie był pomyślał, że spadnie, to nie byłby może... Że gdybym o Stefie nie był pomyślał, nie był napisał, to może... O! *Jest jak obłąkany.*

EWA

przerażona, zasłania uszy i robi ruchy, jak gdyby odpędzała jego słowa.

Nie... nie... Marku... nie!!

MAREK *j. w.*

Ta myśl, że ja sam sprowadziłem na siebie nieszczęście... to mnie tak truje... to mnie tak... och!.. *Chwyta się za głowę.*

EWA.

Marku!! *Chwila milczenia. Marek opada zupełnie martwo, wyczerpany z sił — przymyka oczy. — Pauza. —*

Ewa po chwili, zapanowawszy nad sobą, miękko: Pan chory... Pan poprostu chory...

MAREK

zmęczony, innym tonem, jak chore, zmęczone dziecko.

Tak... chory jestem... Ja wiem, że to choroba. Ale uczepiło mi się to, jak zmora. I ani rusz wyrwać się z tego nie mogę. *Ewa wstaje i podchodzi do niego. Kładzie dłoń na jego dłoni* Tak... ulecz mnie... ratuj... takim już zmęczony, zmęczony... *przymyka oczy i opiera głowę na jej ręce... po chw.* Widzisz... nie, pozwól mi myśl moją wypowiedzieć do ostatka... ja wiem, to chorobliwe, to niedorzeczne, ale jak ci powiem, to mi ulży... Otóż widzisz... wczoraj kiedym tu wszedł, do waszego domu, także uczułem coś takiego. *Ewa drgnęła, — chce mu wyrwać rękę.* — Nie, zostań... tak mi dobrze... Zresztą, przecież to nieprawda... to wymysł mojej chorej wyobraźni. Uczułem nagle, że u was stanie się coś złego. Z o b a c z y ł e m to... A dziś pomyślałem, że ja... rozumie pani... że ta moja myśl ściągnie na was... Że ja jestem zło, co wchodzi do waszego domu... Zło... nieszczęście... Ale to pewnie choroba... tak, to choroba. Widzi pani... tobie mogę to powiedzieć... tyś rozsądna i taka... mocna. Andrzejowi nie powiedziałbym tego... on taki nerwowy. Dlatego to powiedziałem: wyrzuć mnie ze swego domu. Ale teraz zmieniłem zdanie. Teraz chcę zostać! W ten sposób najprędzej się ulecę, gdy się przekonam, że to nieprawda. Pani... wy mnie uleczycie... wasza miłość mnie uleczy... co... prawda... co?

EWA prostuje się, ściąga brwi p. ch. mocno.

Tak.

MAREK wzdycha głęboko, jak splakane dziecko, kiedy się uspakajać zaczyna.

EWA *po ch. cicho.*

Czy... czy pan wie... czy pan zdaje sobie sprawę...
Urywa Czy pan może mi powiedzieć, co pan takiego
pomyślał? co się stać może?

MAREK *z wachaniem.*

Wiem... tak... trochę, mniej więcej jasno pomyślałem...
Ale nie chcę, nie mogę powiedzieć.

EWA *p. ch. pewnie, głośniej.*

Dobrze. Tak lepiej. Dobrze.

MAREK.

Przecież to nieprawda. Ja tylko mam takie prze-
czulone, chore nerwy. Ulecz mnie... przekonaj, że to
choroba, majak... Ja chcę, ja muszę uleczyć się z tego!
To mnie zjada! Jeżelibym się teraz... teraz jeszcze prze-
konał, że... *Dreszcz go przechodzi.*

EWA.

To co?

MAREK.

Nie wiem... nie wiem... ale... *Drży.* To byłby już ko-
niec... *Zasłania twarz rękami.*

EWA.

Pan chory... *Nachyla się nad nim.*

MAREK.

Tak, chory jestem... Chory... Ulecz mnie... chcę żyć...
Chcę jeszcze żyć...!

EWA *pochyla się nad nim, z mocą, jak gdyby go chciała
zasuggestyionować*

Wyzdrowiejesz... U nas wyzdrowiejesz... no, nie
drżysz tak. Nic się nie stanie! Ja tu jestem! Nic się

nie może stać! Przecież to wszystko nieprawda! przecież to nieprawda!

MAREK.

Tak... tak... dobrze mi...

EWA *tonem lekko karcącym.*

Oj, Marku, Marku, jakież z ciebie dziecko!..

MAREK *milczy, oddycha głęboko, uspokojony trochę. Z lewej słyhać chrząkanie i lekki stuk. Ewa i Marek rozchodzą się. Ewa składa robotę i patrzy w okno. Marek zapala papierosa.*

SCENA VI.

MAREK, EWA, MATKA, *w końcu* JUSTYNA.

MATKA *wchodzi z lewej, chrząkając umyślnie. Wpierw puka lekko.*

EWA.

Proszę! *Żdzwioniona.* Czemuż mama puka?

MATKA.

Nic... Bałam się przeszkodzić... Rozmawialiście z takim ożywieniem... *Patrzy badawczo to na jedno, to na drugie. Tamci milczą.*

MATKA *drepcze do kredensu, wyjmuje stamtąd jakiś obrus, siada pod drugim oknem, ceruje go. Po chwili.*

No? cóżeście państwo tak zamilkli! Proszę, rozmawiajcie dalej! Nie macie chyba przedemną sekretów. *Milczenie.*

MATKA *p. ch.*

Justyna znowu stłukła filiżankę. Z tych ze złotymi brzegami... no wie Ewcia,.. Już dwóch brakuje z tuzina.

EWA.

Dobrze, powiem jej...

MATKA.

O, ja się już nic do niej nie odezwę! Nie! wolę milczeć! A co mi tam! Mam się narażać na ciągłe awantury? Nie jej nie powiem... marnego słowa nie powiem! Niech cały serwis wytłucze! Ja się w tym domu gęby boję otworzyć! *Milczenie.*

MAREK.

Kiedy to Andrzej miał wrócić?

EWA.

Wróci pewnie zaraz.

MATKA.

Cóż wam się tak nagle za Andrzejem zatęskniło, hę? Przed tem nie tęskniliście jakoś. Rozmawialiście tak żywo...

EWA.

Mama słyszała?!

MATKA.

Nie, nie... to nie! *Ewa oddecha lżej.* Ja tam choć głupia, choć prosta kobieta, ale nie podsłuchuję, nie. Wiedziałam tylko. *Z naciskiem.*

EWA *wzrusza ramionami, Marek uśmiecha się, przyglądając się jej przez monokl.*

MATKA *p. ch.*

Moja Ewciu! już ja widzę, że my z tą Justyną nie

wytrzymamy długo. Rai mi jakąś fertyczną dziewczynę ta sklepikarka z przeciwka... no ta, co to Ewcia wie...

EW A *prędko, chcąc zażegnać rozmowę.*

Wiem, wiem... pomówimy o tem później. *Milczenie.*

MATKA *wzdycha po chwili.*

Cóż Staś? uspokoił się?

EW A *rada, że rozmowa weszła na inne tory.*

Jest z nianią w sypialnym.

MAREK *pokazując na widzów.*

To tam?

EW A.

Tak... tylko wchodzimy tam przez pracownię. *Pokazuje na prawo.* Te drzwi — *pokazuje miejsce nad sofą* — zamknęliśmy i zabiliśmy dywanem, bo w sypialnym okna są nawprost tych i boję się przeciągu dla Stacha.

MAREK.

A gdzież sypia pani? *Pokazuje matkę.*

EW A.

O! tutaj. *Pokazuje łóżko za parawanem.*

MAREK.

A, tak... *Myśli o czem innem...* Rozmowa się urywa *znowu. Pauza.*

MATKA *p. ch.*

Moja Ewciu... co by tu jutro zrobić na obiad? Bo już mi się doprawdy bzik chwyta i nie wiem, co by wam wymyśleć... Wołowego już jeść nie chcecie, cięcina podrożała...

EWA

ogląda się na Marka, bojąc się, by go to nie zdenewnowało
Cokolwiek, mamó... zresztą, jutro pomyślimy o tem.

MATKA

Możeby zupę szczawiową i pieczeń na prędko, a...

EWA *prędko.*

Tak tak... Tak będzie najlepiej. *Znów pauza.*

MATKA.

Choć to jutro święty post... Ale w tym domu nie dba się o posty. O nic się nie dba. *po chw. wzdycha głośno.* Ech...

EWA *chcąc podtrzymać rozmowę.*

Czytał pan ostatnią powieść Sieroszewskiego?

MAREK.

Nie, nie czytałem. — *Rozmowa się urywa.*

MATKA *wzdycha znowu, a raczej ziewa*

Ech nudno tu! Prawda, panie, jak tu u was nudno! Andrzejowie nie przyjmują prawie nikogo... Ani z kim pogadać ani się pośmiać... Co mi to za życie! U nas, panie, dawniej, kiedym jeszcze panną była i u rodziców mieszkała, to było życie! Ruch, gwar! co drugi, co trzeci dzień goście! A w święta to od rana do nocy! Ktoś zagrał na fortepianie a my już w taniec... tańce, śpiewy... Oj, Boże, Boże... *p. chw.* Czy pan wie, że Andrzejowie to nawet świąt nie sprawiają. A jakże. Mówię panu. Przecie tu już jestem od Wielkiejnocy. Ani święconego, ani gości, ani nic. Jakem w wielką sobotę święconego jajka na stole nie zobaczyła, to mówię panu, tak mnie tu z żalu w dołku ścisnęło, że już przez całe

święta jak struta chodziła. Oj, nie będzie Bóg błogosławił... oj, nie będzie, powiedziałam zaraz... *wzdycha*. Inni teraz ludzie, inna młodzież... wszystko inne... Im tylko w głowie malowanie, teatr... Boże odpuść! a jak Ewcia kiedy i grać zacznie, to mnie zaraz w ten moment w dolku spiera. *wzdycha* Ech!

EWA.

Biedna mama! Mamie nudno u nas... ja wiem... ale cóż ja zrobię? kiedy mamę nie bawi to, co nas...

MATKA.

Oj, że nie, to nie! Człowiek się nadreńczy, naharuje... a rozrywki, a przyjemności żadnej! Wy się bawicie. A ja co? I cóż dziwnego, że człowiek przez cały dzień z gębą odętą chodzi, jak środa na piątek. Ech! powiadam, że takie życie, to lepiej kamień do szyi i...

JUSTYNA *ukazuje się w progu*.

MATKA *spojrząwszy ją, z nagłym krzykiem*.
A ty tu czego?

JUSTYNA *z zakasanyimi do prania rękawami*.
A no... niby na sodę i na mydło.

MATKA.

Kto ci tu kazał do pokoju wchodzić? Podsluchujesz może, co?

JUSTYNA.

Zaśby tam! Czego się pani wydzira?

MATKA.

Cicho, kiedy ja mówię... słyszysz? Ja pani a ty sługa! marsz mi stąd zaraz!

JUSTYNA *zabiera się.*

Ja tylko... niby o sode... *Odchodząc.* Złoto i śrybło widziałam, ale takich państwa nie widziałam! *odchodzi mrucząc.* Ludzie, ludzie!

MATKA *idzie za nią do kuchni.*

A zaraz mi tu gębę otwiera! pyskować zaczyna! Szturmaczysko jedno! *wychodzi za nią.* Cisza.

EWA *po chw. z westchnieniem.*

U nas tak teraz zawsze... A przedtem ja zajmowałam się wszystkim i... było jakoś!

Matka wraca. — Milczą.

MAREK *po chw.*

Panie pozwolę, że pójde tam... *pokazuje pracownię.*

EWA *żywo.*

Ach, jakżem ja nieuważna! Marek pewnie sypia po obiedzie. A wczoraj siedzieliśmy tak do późna! *Chce iść z nim.*

MAREK.

Nie nie... Spać nie będę. Nie mógłbym. Ale pójde do pracowni Andrzeja, jeżeli pani pozwoli. Może znajde jaką książkę... Zmęczony jestem trochę... *uśmiecha się blado.*

EWA *z życzliwym uśmiechem.*

Tak tak, Marku, połóż się, odpocznij... Marek *kłania się i wychodzi.*

SCENA VII.

EWA I MATKA.

Szyją, każda przy innem oknie.

MATKA *wzdycha.*

Biedaczysko!

EWA *żywo.*

Prawda?

MATKA.

E, takiemu wszędzie i zawsze źle będzie. On ma już taki osobny talent do tego.

EWA.

Może i to być.

MATKA *zadowolona, że Ewa jej potakuje.*

A widzi Ewcia. *Milczenie. Widać, że matka już od chwili zbiera się, aby coś powiedzieć. Po chw. Moja Ewciu!*

EWA *drgnąwszy, budzi się z zamyślenia*
Co? co takiego?

MATKA.

Dawno już chciałam pomówić z tobą. Ale, że to Ewcia tak rzadko na mnie łaskawa...

EWA.

Słucham mamy.

MATKA.

Moja Ewciu! Czyby też Ewcia nie mogła... Andrzej tak Ewcię kocha... Wszystkoby zrobił dla niej... Ja się przed Ewcią na niego skarżyć nie chcę, ale do prawdy, że czasem to już mi i sił brakuje.

EWA.

O cóż chodzi?

MATKA.

Widzi Ewcia.. ja się przed Ewcią nie skarżę, nie... ale przecie sama Ewcia widzi... *wzdycha*. Andrzej jest bardzo, bardzo niedobry dla mnie.

EWA.

Mamo!

MATKA.

Ja wiem, wiem, Ewcia go bronić będzie, naturalnie! Zresztą... cóż, dla Ewci on dobry, ale dla mnie... Dobry mąż z niego, dobry ojciec... nawet pan dobry dla sługi... dla mnie tylko, jak ten pies! *na płacz jej się zbiera*.

EWA *zmieszana*.

Doprawdy... zdaje się mamie... Może za gwałtowny trochę, ale...

MATKA

O, już ty mi nie mów! Tu nie oto idzie! gwałtowny, gwałtowny, toć i ojciec raptus był, a dobry człowiek. Ale Andrzej nie kocha mnie już... nie szanuje. Ot co!

EWA.

Zareczam mamie, że...

MATKA.

Gdybyś ty go tak przekonać do mnie chciała... udo-bruchać... Przecież jam mu nie pierwsza lepsza, ale matka rodzona! Na świat go wydałam, własną piersią karmiłam... a on teraz na mnie, jak na zbója. Drażnię go... za głupia jestem dla was... no wiem. Ale cóż na to poradzę?

EWA *wzruszona, podchodzi, całuje ją w rękę*.

Moja mamo!

MATKA.

Jabym wam przecież nie ba przychylić chciała, moje dzieci! *Całują się.*

EWA *j. w.*

Wiemy mamo. I Andrzej wie.

MATKA.

Przemów ty za mną słówko, żeby on dla mnie taki niegodziwy nie był.

EWA.

Dobrze, powiem mu, żeby więcej panował nad sobą.

MATKA.

Niech ci Bóg za to zapłaci, moje dziecko. Jam przecież biedna wdowa, ująć się za mną niema kto...

EWA *wraca na miejsce — szyją.*

MATKA *po chw.*

Ja głupia jestem, to prawda, akademii nie skończyłam... ale mam swój rozum i myślę, że nie najgorzejbyście wyszli, gdybyście mnie czasem posłuchali. Przecie to i nie jeden rok przeżyło się na świecie i nie jedno się na nim widziało. Zwłaszcza my, kobiety... myślę, żebyśmy się w niejednem zrozumieć mogły Jak Ewcia myśli?

EWA *uradowana i zdziwiona.*

Myślę, że kiedy mama taka dobra, to i porozumienie nietrudne będzie między nami.

MATKA.

No widzisz. I poco te ciągle awantury, kiedy można o wszystkim porozmawiać zgodnie. Hm... *Pauza — szyje.*

EWA.

Czy mama chciała mi co powiedzieć?

MATKA.

Nie... ja tak tylko sobie... Tak! żeby to Ewcia miała do mnie zaufanie, to jabym jej może powiedziała niejedno... Ale Ewcia ze mną milczy zawsze... albo o gospodarstwie gada, tak jakby to już ze mną o niczem, prócz o garnkach, pomówić nie można było.

EWA.

Słucham... niech mama mówi. *Zaciekawiona.*

MATKA.

E, nie to znów takiego ważnego. Ot takie sobie... uwagi starej! *Pauza.* — Moja Ewciu... ja się tam do was nie wtrącam, ale... Mogłaby Ewcia tego Andrzeja trochę krócej trzymać!

EWA *zdumiona.*

Co? — *wybuchła śmiechem.* — Ależ... ależ mamu kochana... co też mamie w głowie? *Podchodzi do niej i całuje jej ręce.* Hahaha! A to zabawne! Nie, doprawdy..

MATKA.

No no no, moja droga, a ja ci radzę, nie śmiej ty się, a posłuchaj lepiej starej, doświadczonej kobiety

EWA.

Ależ mamu... kiedy nasz stosunek wzajemny... Jakby to mamie wytłomaczyć... Między nami niema... ty chcesz, albo: ja chcę... rozumie mama? My oboje to jedno! Oj mamu, mamu! *Całuje ją znowu.*

MATKA.

Ale dobrze, dobrze! Niech tam sobie Ewcia mówi,

co chce, a ja co wiem, to wiem. Męża zawsze za łeb trzymać należy. Kobieta, zwłaszcza, jeżeli jest rozsądniejsza... no bo przyznaj Ewciu, żeś rozsądniejsza od Andrzeja.

EWA *nie śmieje się już... chmurna.*

Mamo!

MATKA.

Ale tak, tak! Przecież ja widzę! otóż kobieta zawsze tak powinna nakreślić, aby się wszystko działo po jej woli. No... nie może przecie Ewcia powiedzieć, że mówię na jej złe... przecież jestem nie Ewci matką a Andrzeja.

EWA *chłodno.*

Dziękuję mamie. Ale nie mówmy o tem. *Wraca do szycia.*

MATKA.

Matką jego jestem i znam go doskonale. Dawniej i lepiej od Ewci. *Szyją.* Andrzej dobry chłopiec... ale szalapat! Toby chciał, o temby marzył... a właściwie z tego wszystkiego nic.

EWA.

Artystą jest... Talent ma.

MATKA.

Tak... ma tam trochę talentu, tak mówią przynajmniej, bo co do mnie... Ale i co z tego? Czy on co kiedy będzie miał? czy kiedy do czego dojdzie? Zawsze mu tylko fiu-fiu w głowie... i fidrygałki... Ot, warjat był i będzie i koniec...

EWA.

Proszę mamy...

MATKA.

Ale Ewcia co innego. Ewcia powinna mieć rozum za dwoje. No niech tylko Ewcia powie, jak to można,

aby w takiej biedzie, kiedy nigdy niewiadomo, co się jutro do garnka włoży... Staś ma dopiero 14 miesięcy... a tu już znowu podobno...

EWA.

Mamo!

MATKA.

Już milczę, już milczę! Ja się tam nie wtrącam w wasze sprawy... To wasza rzecz, tylko myślę, że Ewcia powinna chyba już mieć rozum. Jemu się nie dziwię, każdy mężczyzna to... *Pogardliwie.* Wiadomo, czego oni od nas chcą i dlaczego się z nami żenią... Znam ja to, znam...

EWA *która patrzy na nią w osłupieniu.*

Mamo?!

MATKA.

Wszyscy oni jednacy! I ojciec jego... ech! a wdzięczyć się będzie, a cukrowane słówka prawić, a do nóg padać... A o jedno mu tylko idzie... I oni to nazywają «miłością!» Tfu, paskudztwo i koniec!

EWA *zapatrzona w nią, jak gdyby ją pierwszy raz w życiu widziała... podnosząc powoli ręce, jakby chcąc w nie ukryć krwawy rumieniec, co jej od słów tych na twarz wybiegł, zduszonym głosem.*

Mamo — mamo!!

MATKA *szyje, nie patrząc na nią, i nie widzi wrażenia słów swoich, spokojnie.*

Ale Ewcia powinna być przecie mądrzejsza... Zre-sztą — powiem Ewci, że to nawet rozsądniej być... oszczędniejszą dla męża. Dłużej go tem przytrzymać można, niż... Zawsze to miłsze, co trudniej zdobyte... Ja nie mówię, aby Ewcia była... A nie, nie... Ale zawsze... Andrzej taki... no! wszyscy oni tacy, coprawda. Tak

tak, moje dziecko! Uwierz mnie starej! Co do mnie, to umiałam sobie radzić. Zawsze wtedy, kiedy czego koniecznie chciałam od mego starego... Zrobił to, czego chciałam, to dobrze! Ale inaczej nie... o, nie! *Chichocze, zadowolona z siebie.*

EWA

nagle, poruszając ręką, gwałtownie, jakgdyby coś odpędzić chciała... Cicho, odrazą i obrzydzeniem zduszonym głosem.

Dosyć... dosyć... o! o! Jęczy cicho przez zęby, jakby jej kto zadał cios śmiertelny, zasłania się rękoma.

MATKA. *dopiero teraz podnosi na nią oczy, wstaje przerażona... podchodzi do niej.*

A tobie co? Ewciu...

EWA. *zrywając się, aby się jej suknią nawet nie dotknąć, ze wstrętem, cicho.*

Nie dotykaj mnie!!

MATKA.

O! Teraz ta znowu... Dom warjatów doprawdy! *Wzruszając ramionami wychodzi do kuchni.*

EWA

stoi ciągle taksamo, patrząc za nią przerażonemi oczyma. Ze wstrętem, przez zęby.

O! O!... *W tej chwili słyszeć dzwonek.*

EWA *z radością i ulgą.*

Andrzej! *Wybiega na prawo.*

SCENA VIII.

EWA — ANDRZEJ potem MATKA.

ANDRZEJ *wchodzi z prawej z Ewą, otrzepuje się. Jak się macie! gdzież Marek?*

EWA.

Tam. Pokazuje pracownię, patrzy na niego uważnie, potem uśmiecha się i kręci głową, jakby coś od siebie odganiała: nie, nie!

ANDRZEJ.

Śpi?

EWA.

Nie, odpoczywa tylko.

ANDRZEJ

Ewuś, nie przywitałaś się ze mną!

EWA.

Mokry jesteś!

ANDRZEJ.

A prawda. Otrzepuje się. Leje, jak z cebra. A wczoraj taki śliczny był zachód. Moja Ewuś, możebyś wzięła odemnie parasol. Ewa rozpina parasol i stawia go w kącie. Oj, złało mnie porządnie! Zabłociłem podłogę. Rozbiera się z palta. Trzeba było wejść przez kuchnię. Znów będzie awantura. Cóż — nie było tu jakiej tymczasem? Matka wchodzi z kuchni i siada na dawnem miejscu, cerując. Cóżecie tu robili — he? Ewa przechodzi przez pokój, Andrzej zatrzymuje ją. Gdzie idziesz, Ewuś?

EWA.

Do dziecka. Wychodzi na prawo.

ANDRZEJ.

.....Więc Marek odpoczywa? To dobrze! Niech odpocznie, nie będę mu przeszkadzał. Przeczytam tym czasem dzienniki. Wyjmuje z kieszeni paczkę gazet, kładzie się na sofie, czyta. Wchodzi Matka.

SCENA IX.

ANDRZEJ I MATKA.

Chwila milczenia. Andrzej czyta, Matka szyje.

ANDRZEJ

Jest zdenewrowany trochę i od czasu do czasu rzuca ku matce niespokojne spajrzenia, jakgdyby mu jej obecność przeszkadzała.

MATKA.

Od czasu do czasu patrzy nań jakby z politowaniem, kina głową i wzdycha. Przechodzi tak dość długa chwila.

MATKA.

.....Andrzeju..... To Ewcia z Markiem znali się dawniej?

ANDRZEJ.

Co?... Czy mama co mówiła?

MATKA *szyjąc.*

Pytam się, czy Ewcia z Markiem znali się już dawniej, zanim ty ją poznałeś?

ANDRZEJ *nie zwracając na to uwagi.*

Tak.

MATKA.

No... no... *Znów milczenie.*

ANDRZEJ *w pewnej chwili, kiedy się ich spojrzenia spotkały.*

Cóż mama tak patrzy na mnie?

MATKA.

Ja... nic...

ANDRZEJ

Ma matka taką minę, jakby mnie żałowała, czy co?

MATKA *zaprzeczając z udaną gorliwością.*

Ależ... zdaje ci się... Ja? co znowu? Ja tylko tak...

ANDRZEJ *czyta znowu. Pauza. p. ch. czytając.*

No to może się tu co stało tymczasem? Cóżście tu robili?

MATKA *z przesadną obojętnością wzruszając ramionami.*

Cóżbyśmy mieli robić?... Zresztą, ja nie wiem... ja byłam w kuchni... Co oni tu robili, to nie wiem... *Z naciskiem.* Rozmawiali. Rozmawiali z ogromnem ożywieniem. *p. ch.* Czy Marek bywał tu u was, przed wyjazdem?

ANDRZEJ *czytając i nie zwracając uwagi.*

No bywał, naturalnie, że bywał.

MATKA.

Często?

ANDRZEJ.

Często. Bo co?

MATKA.

Nic... ja tylko... tak sobie... *Pauza.* Ewcia z Markiem to się bardzo musieli lubić dawniej...

ANDRZEJ.

No rozumie się. Znali się od dzieci prawie.

MATKA.

Ewcia taka dla niego serdeczna... *Pauza.* Choć co do mnie, to przyznam się, że nie bardzo mi się podoba, że Ewcia mówi mu przez «ty»

ANDRZEJ *j. w. obojętnie.*

Czyż mu tak mówi? nie uważałem.

MATKA *gorliwie.*

Otóż to — otóż to... Zawsze trzeba uważać, zawsze... Nigdy nie można wiedzieć... To nie ładnie... No mów sobie co chcesz, ale to nie uchodzi. Jabym na to nie pozwoliła. Żeby zameżna kobieta obcemu mężczyźnie...

ANDRZEJ.

A cóż mnie to szkodzić może? *Czyta.*

MATKA.

...Jak ciebie nie było, powiedziała mu kilka razy ty... Przy mnie nawet... *Pauza. Andrzej milczy.* Ale, Ewcia, to sobie kobieta... Ma temperament, niema co mówić... A no, zwyczajnie, ruda. Mówią, że rudzi to gwałtowniejsi nawet od brunetów!

MATKA *wzdycha.*

Oh!... *Pauza.* Wiesz, Andrzej... niedobrze zrobiłeś, żeś zaprosił tego Marka, aby u nas mieszkał. On mi się jakoś nie podoba. Dziwak jakiś, czy warjat...

ANDRZEJ.

E, mama także... Nie mogłem przecie w tych warunkach puścić go samego...

MATKA.

No no! Złego lichu nie weźmie! A zawsze to nie uchodzi. Żonę masz młodą... Co ludzie na to powiedzą?

ANDRZEJ.

A cóż mnie to obchodzi. Zresztą Marek wyjeżdża.

MATKA *mruczy.*

Aha! Wyjedzie on! właśnie!

ANDRZEJ *przestając czytać.*

Już mamie zawadza! Co matka ma właściwie przeciwko niemu?...

MATKA.

Ja nie! — A cóżbym ja mogła mieć... Ja tylko, ot, tak sobie... *Andrzej zajął się znowu czytaniem.* Tylko, że to, ludzie, widzisz, zawsze ludzie... Gadają, plotki robią... A o zdanie ludzkie, o dobrą sławę, dbać należy... Nie można, widzisz, lekceważyć sobie tego i robić na opak... Ja wiem, ludzie są źli, to prawda... Ale dziś już rano spotkała mnie na mieście pani radczyni Męczyńska i powiada do mnie: cóż to, to u państwa jakiś przyjaciel zamieszkał? A tak, powiadam w przejeździe jest — wyjeżdża. Jędrus nie chciał go puścić, bo to, zmartwiony biedak...

ANDRZEJ *zły, rzuca gazetę i chodzi...*

Niech mi mama do kumoszek o Marku ani o jego sprawach nie opowiada! Bardzo proszę!

MATKA.

Kumoszek! Bardzo proszę! Pani radczyni jest zawsze pani radczyni i zdanie jej szanować należy. Co radca, to zawsze radca. To nie jakiś tam — malarz. A skoro pani radczyni powiada, że to nie wypada, to...

ANDRZEJ *zły, chce wyjść na prawo.*

MATKA *zła.*

Nie chodź tam, Andrzej! Radzę ci — nie chodź!

ANDRZEJ *staje przy drzwiach.*

Dlaczego?

MATKA *złośliwie.*

Mógłbyś przeszkodzić!

ANDRZEJ.

Marek przecie nie śpi. Ewcia mówiła...

MATKA *powoli, cedząc.*

To nie... Ale może znowu prowadzi z Ewcią taką ożywioną rozmowę, jak wtedy, kiedy ciebie nie było...

ANDRZEJ *zdumiony, nie mogąc pojąć.*
Co?... co?!

MATKA *wzruszając ramionami.*

Ze też ci mężowie wszyscy równo ślepi!

ANDRZEJ *blady, z zaciśniętymi zębami.*

Co mama mówi? Niech się mama zastanowi, co mama mówi?

MATKA *nie patrząc na niego.*

Mówię, że zamiast chodzić po kawiarniach, mógłbyś lepiej pilnować żony... i przyjaciela... Przyjaciela domu!

ANDRZEJ.

Ah!! *drżący z wściekłości rzuca się ku niej ze zduszonym okrzykiem.*

MATKA *która teraz dopiero spostrzegła, jakie to na nim zrobiło wrażenie, przerażona, cofając się.*

Jezus Marya!

ANDRZEJ *sycząc, nieprzytomny z gniewu.*

Zabiję! zabiję! *Chwyta ją mocno za ramię obiema rękami:*

MATKA *z nagłą determinacją.*

No to zabij! no zabij! *Andrzej staje, puszcza ją, chwytając się za głowę.* No zabij-że! przynajmniej raz skończy się moja męka!

ANDRZEJ *oddycha głęboko.*

I to jeszcze! I to jeszcze! *Załamuje ręce.* Matko! matko! Dlaczegoś mi to zrobiła — dlaczego?! *Zasłania twarz rękami. Pauza.*

MATKA.

Sponiewierał mnie! podniósł na mnie rękę! syn mój, dziecko rodzone! Oj, nie żyć mi już, nie żyć na świecie! *Zbiera się, zawodząc.*

ANDRZEJ *nie patrząc na nią, szeptem.*

Wszystko! wszystko przepuścić mogłem — tylko nie to, nie to!! *p. ch. twardo, odwrócony od niej, nie chcąc na nią patrzeć.* Wyjedzie mama. W tej chwili pójdzie mama spakować rzeczy i wyjedzie mama. Dziś jeszcze.

MATKA *zawodzi.*

Oj Boże ty mój — oj Boże! żebym ja też tego doczekała na starość.

ANDRZEJ *j. w.*

Proszę być cicho, żeby Marek nie usłyszał. Proszę wyjść. Prędko.

MATKA *z nagłą złością.*

A cóż ty myślisz, że on byłby już nie usłyszał, gdyby tam był? Drzwi cienkie! Gdyby tam był, już by tu przyleciał!

ANDRZEJ *mimowoli.*

Jakto? A gdzież on jest?

MATKA pokazując na pokój sypialny, t. j. na widzów.

A tam! Przy niej! Andrzej chce rzucić się ku niej. Matka prędko! Zabij mnie, zabij, jeżeli go tam niema!

ANDRZEJ biegnie ku niej — staje — chwytła się za głowę, oddychając ciężko.

Jezus Marya! Jezus Marya! to matka! to matka! Nie patrząc na nią. Proszę wyjść... proszę prędeż wyjść... Bo już nie mogę zapanować nad sobą!!

MATKA.

Idę już, idę... Ale ty będziesz żałował... Zapamiętaj sobie tę chwilę...

ANDRZEJ nagle wypada na prawo i zostawia drzwi otwarte. Zaraz wraca — blady, drżący.

MATKA.

A widzisz... niema go tam.!

ANDRZEJ z zaciętymi zębami.

Proszę wyjść!.. prędeż, prędeż... Oh! Zasłania twarz rękami, nie mogąc sobie dać rady. Wściekłość pożera go... ręce mu drżą, nie może już zapanować nad sobą.

MATKA z tryumfem, choć cicho.

Widzisz... niema go tam. Wiedziałam, że go tam niema!... Idę już, idę. Odchodząc bez płaczu, z pogardą, przez ramię. Oh! ślepy! wszyscy, wszyscy tacy! Chce iść.

ANDRZEJ po chwili strasznej walki z sobą.

Zostań, matko! Biegnie ku drzwiom z prawej, zamyka je. Zanim odejdiesz — odwołaj! odwołaj to, coś powiedziała... tę potworną, potworną rzecz... Czy ty rozumiesz?... czy ty dobrze rozumiesz, coś ty powiedziała? Oh, nie! to być nie może! abyś ty... ty...

MATKA *wzrusza ramionami.*

Sama wierzyć nie chciałam. Radczyni mi mówiła... Ludzie szeptali już przedtem... Ale nie wierzyła... Nie było mnie tu, nie wiem... *Żywo odwracając się ku niemu, uderza pięścią o dłoń.* Nie wierzyłam, dopókim na własne oczy nie zobaczyła...

ANDRZEJ *blady, rozszerzonemi oczyma wpatrując się w nią.*

Co...? coo?!... *Przeciera oczy.* Ludzie mówili... nie wierzyłaś... Czy ja śnię?

MATKA.

A cóżeś ty myślał, że ja kłamię? że ja na kobietę taką potwarz tak od śliny rzucić mogłam? *Zarodzi znowu.* Mój syn... mój własny syn... Rodzone dziecko pomyśleć mogło o mnie... O! *Placze.*

ANDRZEJ *patrzy na nią, oprzytomniał zupełnie. Prawie jest spokojny.*

Zaraz... Zaraz... Czekał matko... Niech się namyśle, niech sobie przypomnę... Czy ja tylko dobrze słyszę? Czy ja zupełnie przytomny jestem? Ludzie ci mówili, powiadasz...

MATKA.

Jak tylko przyjechałam... Nie chciałam wierzyć, ktoby tam zważał na takie gadanie... Zresztą nic nie mówili wyraźnego... Ot, tak, przebąkiwali po trochu... Jak to zawsze... Ale dziś, kiedy sama widziałam...

ANDRZEJ *jak nieprzytomny.*

Co, co.. coś widziała...

MATKA.

O, tu, przed chwilą... Kiedy ciebie nie było... Na własne oczy widziałam... Drzwi od kuchni były uchy-

lone... Tu, przy maszynie siedzieli i on jej coś szeptał do ucha... Nachylał się nad nią blisko... po włosach głaskał... *Andrzejem wstrząsa dreszcz, jak nieprzytomny zapina szczelnie tużurek.* Co mówili, nie słyszałam... Parę słów tylko... o przeszłości... o wspomnieniach, o Wrońcach, kiedy to Ewcia jeszcze panną była... «Pamiętasz?» — pytał ciągle — «pamiętasz»? A ona mu rękę na dłoni kładła i głaskała... A raz to tu usiedli, o tu, na sofie, on usiadł, a ona tuż, tuż przy nim stanęła, włosy jego pieściła, głowę do piersi tuliła... *Z cichym, złośliwym chichotem.* Myśleli, że ich widzieć nie mogą, bo tu już z kuchni nie widać... Ale ja w lustrze widziałam! *Pokazuje lustro między oknami.* O! widzisz! tam widać wszystko doskonale! Widziałam... Tak! widziałam! Choćbyś mnie zabił, to nie powiem inaczej! *Uderza się ręką w piersi.* Jak Boga pragnę przy skonaniu... Widziałam!

ANDRZEJ *ciągle stoi, jak nieprzytomny i zdaje się nawet nie słyszeć, chwyta się za ubranie, za twarz, za głowę.*

Czy to być może?... Czy... nie, ja śnię chyba! To sen! To okropny, zły sen!... Nie, nie, nie! Przecież ja bym coś widział... Przecież... Jabym coś spostrzegł...

MATKA.

Wiadomo... mąż zawsze o takich rzeczach dowiadyje się ostatni.

ANDRZEJ *Jak gdyby teraz dopiero zrozumiał.*

Jezus... Jezus Marya! Więc to... *Chwyta się za głowę, jak szalony.* Jezus Marya, Jezus Marya, Jezus Marya!...

MATKA.

Cicho! Usłyszają! Drzwi zabite... Ale gotowi usłyszeć!

ANDRZEJ *kołysząc głową, chorym głosem, jak człowiek, który dostał w nią straszny, śmiertelny cios.*

Boże, Boże, Boże... *Nagle.* Nie, nie, nie!! To nie może być! Przecie to nie może być! *Otrząsa się.* O! Jakżem się zmęczył! Jakżem się ogromnie zmęczył! *Chwieje się.* *Siada.* Jak mogłaś matko! Jakes ty mogła!... Rozmawiali, no tak... Przypominali dzieciństwo... To nic... Przecie to jeszcze nic... Jak ja mogłem pomyśleć! Jak ja mogłem uwierzyć choćby na chwilę... *Zrywa się, biega.* Szalony jestem! O niej zwątpić! Ją podejrzewać! Ją, moją słodką, moją czystą, moją cudną... Oh! *Wściekłość wzbiera w nim znowu.* Matko! Jakes ty mogła!... Ewa! moje wszystko, moje słońce, moje życie... miałyby... *Usiłuje się śmiać.* Hahaha... Nie, to doprawdy... I ja mogłem choćby przez chwilę... *Z nagłą tktinnością.* O moje skarby! moje ty cudne! Moje ty złotości najmiłsze! Jakże ja cię przeproszę za to! Do nóg się rzucę, proch z przed stóp całować będę... O moje ty... *Chce biedz na prawo. Przed drzwiami mimowoli zatrzymuje się.*

MATKA.

A jednak... widzisz... jego tam niema.

ANDRZEJ *którego nagle naprawdę ukąsiło podejrzenie, zmieszany, bo pomyślał to samo.*

I... i czegoż to dowodzi? Może... może wyszedł.

MATKA.

Powiedział przecie, że nie wyjdzie. Że nie chce spotkać ludzi.

ANDRZEJ *nie patrząc na nią, chmurno.*

No więc cóż... choćby był tam, to co? Są z dzieckiem, rozmawiają...

MATKA *z ironią.*

Tak, rozmawiają... I tu rozmawiali.

ANDRZEJ *odchodzi ode drzwi, blady, porusza rękami, jak gdyby chciał tę myśl odpędzić od siebie.*

Nie! nie nie nie nie!

MATKA *wzdycha, kinając głową.*

Oj Jędrus, Jędrus...

ANDRZEJ *chodzi gorączkowo po pokoju, przystając przed drzwiami z prawej i zawsze nie śmiejąc tam wejść. Gryzie palce, szepce.*

Nie! Tylko nie stracić przytomności! tylko nie tracić przytomności! Boże! ratuj mnie! O Boże, Boże, Boże!... *Biega, chcąc się uspokoić.*

MATKA *składa robotę, wzdychając.*

ANDRZEJ *nagle, stając przed nią, ale nie patrząc na nią, ze spuszczoną głową, jak ktoś, co popełnia coś złego*

Czy... czy... nie może wyrzucić tego z gardła. Nagle, z twarzą krwią nabiegłą, opuszczoną nisko, przez zęby. Czy się... całowali?

MATKA *przerażona.*

Jak ty wyglądasz, Jędrus!

ANDRZEJ *gwałtownie, cicho, j. w.*

Pytam, czy... Nie może mu to przejść przez gardło drugi raz.

MATKA.

Nie, nie... Tego nie widziałam... Bali się pewnie. Chyba, że tu na kanapie... W lustrze dobrze nie widać... Ona jego zdaje się, w głowę...

ANDRZEJ.

Oh! *Zgrzyta zębami.*

MATKA *bez wiary.*

Zresztą... ja nie wiem... Może to jeszcze nieprawda...
Może ja się mylę...

ANDRZEJ *staje i oddycha głęboko.*

Ah!

MATKA.

Choć... nie zdaje mi się. Pieścił jej włosy... o tu,
przy maszynie... Twoje cudne, złote włosy, Ewuś,
mówił...

ANDRZEJ *pasując się z sobą.*

Tak mówił... *Siada na sofie.*

MATKA.

A jakże... a nachylał się nad nią blisko, blisko... Co
potem mówił, nie słyszałam... Ale sam widziałeś, gdyś
wszedł, byli tacy zmieszani oboje... Ewcia zaraz wy-
szła... *Andrzej drgnął, słucha.* A żebyś był widział do-
piero kiedym ja weszła!... A wczoraj, jak to Ewcia na-
legała, żeby Marek został! *Andrzej zasłania uszy.* A jak
mu to dogadzała! Jak go pieściła wzrokiem, głosem,
więcej niż ciebie! A czy nie mówiła, że dla niego
grała? A dzisiaj, jak cię to do kawiarni gorliwie wy-
prawiała! a jego zatrzymywała! Widziałam z kuchni!
O, moim oczom nie nie ujdzie! *Po chw. kinając głową.*
Oj, Jędrus, Jędrus! Choć byłeś dla mnie, jak ten pies...
ale — żal mi cię!

ANDRZEJ *zrywa się z wybuchem.*

Niech mnie mama nie żałuje! Nie chcę, aby mnie
żałowano! Nikt nie ma powodu żałować mnie! To nie-
prawda! To wszystko nieprawda!

MATKA *obrażona, wzruszając ramionami.*

Jak tam sobie chcesz...

ANDRZEJ.

Nikt, nikt niema powodu, niema prawa żałować mnie! Ewa mnie kocha i ja ją kocham! I wierzę jej! Tak! wierzę jej! I jestem szczęśliwy! Tak! jestem szczęśliwy... szczęśliwy... *Ostatnie słowo wymawia już łkając, pada na krzesło z okropnem łkaniem, które wstrząsa nim całym* O! o! o! *Placze. Długa pauza.*

MATKA *wzruszona jego rozpaczą, nachyla się nad nim.*

Jędrus!... no nie płacz... no nie płacz, Jędrus!... ja słuchać nie mogę, kiedy ty tak płaczesz okropnie! no Jędrus! *Popłakuje.* No, no, dajże pokój i uspokój się! A może to jeszcze nieprawda? Zresztą, może nie jest tak źle, jak myślimy... Ah! pocóżem ci to powiedziała! Ale widzisz, ja chciałam tylko twego dobra! *Placze.* Przecież matka jestem i nie mogę patrzeć, jak się tobie dzieje krzywda!... O, mój synku, mój synku! Widzisz! rękę podniosłeś na mnie! Sponiewierałeś... Za drzwi precz iść kazałeś... *Siada obok i płacze.*

ANDRZEJ *osunął się jej do nóg z płaczem.*

Mamo, moja mamo!

MATKA *płacze także, głaszcze go.*

No cicho! no cicho już! no cicho! Dziecko moje najmilsze! rodzone! *Wygraża ręką.* To ona winna, nie ty! to przez nią! przez tę.. *Andrzej chce się zernąć od jej nóg. Ona go zatrzymuje i tuli.* Widzisz, i po co to się było żenić? Nie dobrzeby ci to było z matką? Tu- liłabym cię, ciękała, tak, jak dawniej, tak jak wtedy, kiedyś był jeszcze malutki... pamiętasz?

ANDRZEJ *przerywanym płaczem głosem.*

Nieprawda... nigdyś mnie nie pieściła, matko!

MATKA.

Cóż chcesz... życie ciężkie... człowiek gorzknije w biedzie i pieszczot mu się odechciewa... Ale teraz pieścić cię będę... zobaczysz, tylko sami zostaniemy...

ANDRZEJ *zrywa się.*

Sami... co?!

MATKA.

No tak... bo jej przecież nie będziesz trzymał przy sobie... Tej...

ANDRZEJ.

Milcz matko!

MATKA.

Co? jeszcze? A, wiesz, że to już... *Wstaje, oburzona, innym, zrykłym tonem.* To siedź-że sobie z nią, siedź... ja wam przeszkadzać nie będę. Piastuj cudze dzieci... A co mi tam!

ANDRZEJ *zachwiał się.*

Matko!... Jezus... *Bliski jest omdlenia.*

MATKA.

Ty jeszcze nie wierzysz, jak widzę... *Po chwili, nagle.* Ale gdybyś chciał, mógłbyś sam zobaczyć teraz... Przekonaj się, czyja prawda. Sam się przekonaj. *Andrzej patrzy ku prawej jak obłąkany.* Nie, nie tamtędy, tam zobaczyliby cię przecież. *Pokazuje miejsce nad sofą, tajemniczo.* Te drzwi nad sofą zabite dywanem, prawda? Tak mówiłeś? I zasłonięte materacem... Stań na sofie, odsuń dywan i materac, w drzwiach musi być jakaś szpara...

ANDRZEJ *patrzy na nią złym wzrokiem. Potem nagle, cicho, ze wstrętem, zdławionym głosem, nie patrząc na nią.*

Precz!

MATKA *prostuje się, z wybuchem.*

Tak! więc tak?... Więc to tak? Za moją pracę, za moją miłość, za moje dobro dla ciebie... tak... tak?! Dobrze! pójdę! Dosyć mi już tego! już mi wszystko obrzydło! Życie mi obrzydło! Takie życie, to lepsza śmierć! *Z płaczem.* Pójdę! ale ty pożałujesz! Do rzeki pójdę albo stryczek na szyję założę... Raz nareszcie spokój mieć będę! Ale pamiętaj, tyś winien! Niech ten grzech na twoje sumienie spadnie. Bóg cię pokarze ciężko! na dzieciach cię pokarze... pamiętaj! Trupa ci mego tu przyniosą... Pamiętaj! To syn? to syn?... *Pluje.* Pies, nie syn!! *Wybiega na lewo w głąb.*

ANDRZEJ *po jej wyjściu chwyta się za głowę. Jest zmęczony śmiertelnie.*

Oh! *Patrzy za nią, jak nieprzytomny. Biegnie nagle ku drzwiom z prawej, staje przed niemi, wraca. Patrzy w próżnię nad sofą. Pomału idzie do sofy, cofa się i zasłania twarz. Nagle wyskakuje na sofę i podnosi rękę w górę, jakgdyby chciał odsunąć dywan, ale twarz ma odwróconą, jakby się wstydził. Zatrzymuje się z ręką w powietrzu, nie doniósłszy jej do góry i zasłania nią twarz odwróconą. Nie zajrzał, nie mógł tam zajrzeć. Nagle osuwa się z sofy na ziemię z westchnieniem, z rozkrzyżowanemi rękami, twarzą do sofy. Chwilę leży tak bez ruchu.*

Zasłona spada.

AKT TRZECI.

Znowu pracownia Andrzeja — chmurne rano.

SCENA I.

ANDRZEJ

siedzi przy stalugach i maluje trochę. Jest jednak bardzo nerwowy i co chwila to wygląda przez okno niecierpliwie, to patrzy ku drzwiom z lewej lub w głębi. Kilka razy zrywa się nagle i biegnie ku drzwiom z lewej — wybiega, za chwilę wraca znowu i znów maluje gorączkowo. Nie idzie mu. Jest bardzo zdenernwowany. Błady jest, ruchy ma niepewne a oczy podkrążone siną obródką. Rzuca pędzel, chodzi po pokoju z rękami w kieszeniach od tużurka, poświsztuje przez zęby, jak ktoś, do ostatnich granic zdenernwowany. Siada znów przy stalugach i bierze pędzel. Dzwonek. W tej chwili zrywa się i biegnie ku drzwiom w głębi. Wychodzi. Zaraz wchodzi z Ewą.

SCENA II.

ANDRZEJ I EWA.

ANDRZEJ *gorączkowo.*

I cóż?

EWA *rozkładając rękami na znak, że niema.*

Chodziłam wszędzie... I u radczyni byłam... na mieście, u znajomych...

ANDRZEJ.

Niema?

EWA *rozpinając płaszczyk.*

Ani śladu. Patrzyli, na mnie, jak na waryatkę.

ANDRZEJ *chodzi, zaciskając ręce.*

Oh! oh!

EWA.

Coś ty jej wczoraj powiedział takiego?

ANDRZEJ *staje przy oknie, patrzy w nie, przez zęby.*

Wypędziłem ją.

EWA.

Bój się Boga! bój się Boga, Jędrus!

ANDRZEJ *nie patrzy na nią.*

Była między nami scena... wiesz... Kazałem jej iść precz. *Nagle, z wybuchem.* Nie chcę jej widzieć więcej! nie chcę!

EWA.

Te wieczne sceny... te wieczne sceny! Boże mój! Odkąd przyjechała, ani jednego dnia nie przeżyliśmy spokojnie!

ANDRZEJ.

Spokojnie... hm! spokojnie... *Śmieje się gorzko.* *Nagle, z wybuchem.* Gdzie jest mój spokój, gdzie? *Siada i ukrywa twarz w dłoniach.*

EWA *nachyla się nad nim, tkliwie.*

Jędrus... no, Jędrus!... *p. ch.* *Prostując się.* Nie pytam się o co wam poszło... ale... O mnie pewnie — co? *Nachyla się nad nim.* O to, żem porzuciła posadę i że... co — prawda?... Nie nie... ja się nie pytam... *Odchodzi od niego.* Pewnie o mnie — inaczej nie byłbyś...

ANDRZEJ *siedzi. j. w.*

Tak... tak... mniejsza o to...

EWA.

I co teraz? Poszła i niema jej... Poszła wczoraj popołudniu i niema jej dotąd! Boże mój, Boże! Co za zmartwienie!.. co za zmartwienie! *p. ch.* Możebyś... możebyś poszedł na policję, Jędrus...

ANDRZEJ *zrywa się.*

Co? skandal?

EWA.

No... mój Boże... przecież ją odszukać trzeba... W jaki sposób?.. Ja biegałam wszędzie, gdzie tylko przypuścić mogłam... *p. ch. cicho.* Czy nie przypominasz sobie, co mówiła, wychodząc?

ANDRZEJ *ciągle nie patrzy na nią.*

Nie wiem... nie pamiętam. Jakieś grośby... Pożalujesz... coś w tym rodzaju... Czy ja wiem... Oh Boże Boże! *Opiera głowę o ramę okna.*

EWA *miętko.*

Jędrus... *Głaszcze go.* No nie martw się... Znajdziemy ją. Nie wyjechała przecież nagle, zostawiwszy wszystkie rzeczy. Zresztą — gdzież pojedzie?

ANDRZEJ.

Tak, gdzież pojedzie?... *Siada. Pauza.*

EWA *chce odejść na lewo z frontu. Staje. Nieśmiało.*

Andrzeju... nie gniewaj się... Ja już Marka posłałam na policję...

ANDRZEJ.

I cóż?

EWA.

Nie wiem... nie wrócił jeszcze? Zaraz tu być powi-

nien... Żeśmy też wczoraj wieczór nie zajrzeli, czy wróciła... A tak... cała noc... cała noc!

ANDRZEJ.

Nie chcę już wiedzieć o niej! nie chcę jej widzieć! niech idzie precz!

EWA *z wyrzutem.*

Andrzeju. *Chce wyjść, staje.* Czy... czy ci nie przyszło do głowy... czy się nie obawiasz, aby pod wpływem gniewu, rozpaczy... *Jeszcze ciszej.* Są myśli, których człowiek boi się wypowiedzieć...

ANDRZEJ.

A...! *rzuca się ku niej nagle, chwycił ją silnie za rękę i patrzy jej prosto w twarz przenikliwemi, rozszerzonemi oczyma.* Więc i tobie przyszła ta myśl... więc i ty myślisz, że... *Patrzy na nią, jakby ją chciał przebić wzrokiem.*

EWA *zmieszana.*

Nie wiem, co zaszło między wami... Ale Marek mi mówił, że ta myśl była w niej już przedtem...

ANDRZEJ *na dźwięk tego imienia puszcza jej rękę... ponuro.*
Marek... tak, i mnie mówił...

EWA *żywiej.*

Ale ja myślę, że to nieprawda... Nie, nie... niema się o co lękać... Tacy ludzie nie popełniają takich rzeczy.

ANDRZEJ

patrzy znowu na nią, oddycha głęboko, jakby z ulgą.

Prawda? tak! masz słuszość! Tacy ludzie nie popełniają takich rzeczy. *Chodzi, trąc czoło.* Tak tak... Przecież to nie może być! przecież to nie może być! To Marek nas tak nastraszył. Sam jest chory i drugich denerwuje... Taka myśl! Skądże znowu! poprostu,

chciała nas nastraszyć i nie przyszła... Chciała mnie ukarać... *Usiłuje się śmiać.* To nie, to nie! Przyjdzie i wszystko się załata. *Nagle z zaciętością* Ale z mojego domu musi iść precz!

EWA.

Andrzeju!

ANDRZEJ.

To nie... to nie... Hahaha... Zdenerwowany jestem... Żle spałem... Ona przyjdzie i wszystko będzie po dawnemu... *Uśmiecha się nieszczerze, bezmyślnie.*

EWA *wzdychając, wychodzi.*

ANDRZEJ.

Wszystko będzie po dawnemu... po dawnemu, wszystko będzie... *Spostrzega że jej niema, zatapia ręce we włosach.* Oh! *Pauza.* Za chwilę wchodzi Ewa bez płaszczyka i kapelusza.

EWA *p. ch. przy oknie.*

Marek nie wraca...

ANDRZEJ *brutalnie.*

Potrzebny ci?

EWA *źdźwiona.*

Myślę o matce...

ANDRZEJ.

A tak, myślisz o matce... tak, tak... *Biegnie ku drzwiom z lewej w głębi, zagląda tam — wraca. Siada przy stalugach, usiłuje pracować.*

EWA *staje przy nim z tyłu i opiera się głową o jego plecy.*

Biedny... biedny mój chłopiec... zdenerwowany... chory... *Obejmuje go z tyłu rękami i przytula do niego twarz.*

ANDRZEJ *drgnął przy dotknięciu jej i zbladł śmiertelnie.. przymyka oczy, nie ruszając się — p. ch. cicho.* Daj pokój... Ewuś...

EWĄ spluta ręce z westchnieniem przy oknie, szeptem.
Czy też on ją znajdzie, czy też on ją znajdzie?

ANDRZEJ.

Kto?

EWĄ.

No... Marek.

ANDRZEJ.

A tak, Marek... Haha... Marek... *Znów niemita cisza.*

EWĄ.

Czy masz co przeciwko niemu?

ANDRZEJ.

Ja? nie! co znowu! ja?... Co znowu! *Nagle z wybuchem.* Denerwuje mnie, drażni, denerwuje nas wszystkich... suggestyonuje nas...

EWĄ.

Nie można mu mieć za złe... chory jest...

ANDRZEJ.

To on podsunał mi tę myśl... Nie przyszło mi nawet do głowy... aż nagle przypomniałem sobie naszą popołudniową rozmowę... jego chorobliwe zwidywania i mnie się udzieliły... *Nagle.* A kto wie? może on i matce podsunał tę myśl?...

EWĄ.

Andrzeju! Krzywdzisz go!

ANDRZEJ.

Jak ty go bronisz!

EWĄ.

Naturalnie. Żal mi go.

ANDRZEJ.

Tak, ty masz nerwy mocne... Ale ja... *Nagle przyskakując do niej.* Mnie się już obłęd chwyta. Ja sam

już nie wiem, co prawda a co złudzenie chorej wyobraźni... Drzę, jak dzieciak i boję się, sam nie wiem czego... Odkąd on wszedł do naszego domu, jakaś chmura dom mi nasz przysłoniła...

EWA *spokojnie.*

Jeżeli jego obecność tak cię drażni, to pocóż go zatrzymujesz? Powiedz mu, niech się wyprowadzi... niech wyjedzie...

ANDRZEJ *z nagłą radością.*

Co! tybyś chciała?... *Nagle radość tamuje mu oddech.* tybyś naprawdę chciała...

EWA *spokojnie, ze zdziwieniem.*

Naturalnie.

ANDRZEJ *j. w.*

Tybyś naprawdę chciała... O Ewuś moja, Ewuś... *Całuje ją po rękach.* Jakaś ty dobra, kochana... Jakim ja rad... *całuje ją znowu.* Ależ... ależ to... *Śmieje się nerwowo.* Ha, ha, ha! Jakże to dobrze! *Oddycha z ulgą głęboko.* Tak! ależ w takim razie wszystko będzie dobrze... po dawnemu... O Ewuś, Ewuś...

EWA *patrzy na niego ze zdziwieniem.*

Jędrus?... *Z niepokojem.* Tyś chory! tyś naprawdę chory... A matka? Zapomniałeś?

ANDRZEJ.

Tak, prawda... matka... *Sposepniał, chodzi.* Niema jej... jeszcze jej niema! O Boże, Boże!

EWA *wyjrzała oknem... p. ch.*

Więc... więc powiesz Markowi, żeby się od nas wyprowadził?

ANDRZEJ *który ją obserwował z pod oka... nagle, twardo.*
Nie. Niech zostanie, tak lepiej!

EWA.

Jak chcesz. *Dzwonek. Żywo. Idzie. Biegnie ku drzwiom w głębi... Andrzej nie spuszcza z niej wzroku. Ewa zaraz wchodzi z Markiem.*

SCENA III.

ANDRZEJ — EWA — MAREK.

MAREK.

Ani śladu. Byłem w policyi. Szukać będą.

EWA *załamując ręce.*

Gdzie ona być może! gdzie ona być może?

MAREK *posepnie.*

Żadny figiel, niema co mówić. Bo człowiek jest jak stolarz...

EWA.

Oh ta niepewność, ta trwoga... to okropne!

MAREK *z ironią*

Ha, cóż robić, proszę pani! A choćby zresztą! Ileż to potrzebniejszych, pożyteczniejszych ludzi ginie...

EWA *z gniewem.*

Marku!

ANDRZEJ *który ich oboje obserwował ciągle, uporczywie.*

Jest! Twój zwykły «sataniczny» humor! Nóż obrać w ranie, to twoja specjalność... co, Marku?

MAREK.

A choćby! W swojej mogę, to i w cudzej mi wolno.

ANDRZEJ *z gorzką ironią.*

Byle tylko wyrwać okrzyk bólu... szczerego bólu, co? Analizować, obserwować, badać... co? Boli? a więc jeszcze raz... oh! jeszcze, jeszcze głębiej, aż do dna się wśrubować, aż tam zajrzeć w duszę ludzką... Przecież to się nazywa analiza psychologiczna... co?

MAREK *mrużąc jedno oko, wkłada monokl, przygląda mu się ze zdziwieniem.*

He?

ANDRZEJ *z gniewem.*

Rzućno tę lupe! U mnie nic nie zobaczysz! Królikiem, zarzynanym dla doświadczeń, nie będę!

MAREK *wypuściwszy monokl, z bolesnym grymasem.*

Kto to wie, mój drogi? Kto to wie? *Patrzy nań przenikliwie.*

ANDRZEJ.

No i cóż? Może ze mnie tragedję jaką zrobisz? no powiedz!

MAREK *z szybkim i bystrem spojrzeniem.*

Może...

ANDRZEJ.

Ale przecie to nie jest tragiczne... Sam mówiłeś, że taka walka ciągła, domowa, powszednia, to nie jest tragedia.

MAREK *powoli.*

Tak mówiłem... bom myślał, że ty jesteś silniejszy, ty sam w sobie... Aleś ty słaby...

ANDRZEJ.

Więc teraz to jest tragiczne?

MAREK *j. w.*

Wszystko na świecie jest tragiczne... W każdym życiu jest jakaś cicha, ukryta tragedia... To zależy tylko od stopnia wrażliwości tego, który...

ANDRZEJ.

Tego, który cierpi...

MAREK.

Tak, tego, który cierpi i od wzroku tego, który na to patrzy... *Spuszcza głowę.*

ANDRZEJ.

Ja więc jestem według ciebie...?

MAREK.

Ty jesteś naturą wrażliwą, czułą, słabą... *Więcej do siebie.* Wszyscyśmy słabi.. mocnych niema, niema... *Schyła głowę bardzo nisko.*

ANDRZEJ.

Czyli... według ciebie... ja mam osobny talent do tragedyi.

MAREK *podnosi nagle głowę, patrząc mu w oczy.*

A tak! a tak! w tobie tragedia jest! rozumiesz, w tobie samym! *Spuszcza głowę znowu.* Dobrześ powiedział... bardzoś dobrze powiedział... to trzeba mieć osobny talent... *Jak do siebie...* może to jest w ogóle talent... talent twórczy?... Oh! przekleństwo nam!

EWA *która zajrzała na małą chwilkę do dziecka, wraca.*

Niema jej... Jeszcze jej niema... O Boże, Boże!

MAREK *nagle.*

Ewa... O! Ewa niema talentu do tragedyi! Jej nie dręczy chorobliwa, nadezuła wyobraźnia! Ona zdrowa! Ewa stworzona do czynu! Ewa nie wysłuchuje tak jak my, niedosłyszalnych dla uszu pospolitych szeptów tego tajemniczego, co nas otacza... Ona działa tak, jak jej ten głos nakazuje. Ten silny, nieprzeparty głos, który ona słyszy tak wyraźnie. Dla nas to jest, jak niewidzialny labirynt, po którym błądzimy... Dla niej to pewna i jasna droga. My jesteśmy myśl — ona jest instynkt. My domyślamy się, przeczuwamy... ona wie. Prawda. Ewuś?

EWA *z bladym uśmiechem.*

Nic nie wiem...

ANDRZEJ *szeptem.*

Aryadna...

MAREK.

Nie wiem, czy znasz Andrzejowi jedno zdarzenie z jej życia. Była jeszcze dzieckiem, miała z pięć lat, kiedy raz, znużona, zasnęła w ogrodzie, na ławce, w altanie. Przyłasił się do niej jakiś kot, nawpół dziczały kot ze wsi, nie mający schronienia. Spał przytulony do niej. Naraz, niewiadomo dlaczego, rzucił się jej do gardła i byłby udusił może... ale mała Ewa, nie budząc się wcale, a czując instynktem, jakie jej grozi niebezpieczeństwo, chwyciła go obu rękami za szyję i ścisnęła tak mocno, że kot zdechł, nie zipnąwszy prawie. Kiedy się obudziła, w zaciśniętych kurczowo rączkach trzymała już tylko trupa.

ANDRZEJ *wzdryga się, do Ewy.*

Nigdy mi tego nie opowiadałaś...

MAREK.

Wstydziała się tego tak, że dostawała konwulsyi

kiedy kto zaczął mówić o tem. Matka zakazała więc mówić o tem, i tak zapomniało się.

ANDRZEJ.

Dziwna rzecz... *Patrzy na nią przenikliwie.*

MAREK.

Nie patrz-że na nią tak, jak gdyby popełniła zbrodnię. To nie jej wina. To instynkt. Ona ma widać silnie rozwinięty instynkt samozachowawczy. Najsilniej z nas trojga.

ANDRZEJ.

Z nas... trojga!... *Oddycha głęboko.* Tak! *Przygląda im się.* Dziwna, dziwna rzecz! Zdaje mi się, że was oboje widzę po raz pierwszy.

EWA.

Andrzeju!

MAREK.

Ha! cóż chcesz? Nigdy nie można powiedzieć, że się kogoś zna dobrze, tak do gruntu... Człowiek sam siebie nie zna... Są takie dziwne zakątki w duszy ludzkiej, do których nie zagląda się nigdy, o których istnieniu nie wie się... Aż nagle...

ANDRZEJ.

Nie, nie! *Chodzi po pokoju trąc czoło.*

EWA.

Uspokój się, Jędrus. Ona wróci.

Kto?

ANDRZEJ *jak zbudzony ze snu.*

EWA *patrzy nań ze zdziwieniem.*
No... Matka!

ANDRZEJ *pomiészany*.

A tak... a tak... matka! Prawda... matka.

MAREK.

Możebyśmy poszli jeszcze...

ANDRZEJ.

Gdzie?

MAREK.

Poszukać.

EWA *żywo*.

Tak! idźcie! Idź, Andrzej! To cię zajmie... Takie bezczynne czekanie denerwuje najbardziej... Tyś nie był nigdzie...

ANDRZEJ *jakby zdziwiony*.

Nie byłem?... A tak, prawda, nie byłem — nie szukałem jej wcale... Ja, syn... Dziwne, dziwne... Wszystko jest dziwne... *Zamyśla się*.

MAREK.

Tak... wszystko na świecie jest dziwne... A raczej nic nie jest...

EWA *daje mu znak, aby nic nie mówił. Zamieniają parę słów pocichu*.

ANDRZEJ *spozstrzegł to, oczy jego zaczęły ich szpiegować. Nagle, biorąc kapelusz, nieszczerze*.

...To ja... pójdę... Idziesz ze mną, Marku?

MAREK.

Coprawda, wolałbym zostać... Jeżeli mam powiedzieć, co myślę, to... *Żywo z gniewem*. Ja się poprostu boję, że ona... No doprawdy, aby wam zrobić na złość... Wolałbym tu być i nie zostawiać Ewy samej, w razie gdyby...

ANDRZEJ *patrzy nań rozszerzonymi oczyma.*

Co! co?! obawiasz się, że... *Oddycha głęboko.* Ależ nie... ależ nie... nie nie! to być nie może... to być nie może... *Nagle.* Ale jak chcesz! Jeżeli chcesz zostać... *Czeka.* Więc... zostajesz? *Wybiega nagle głębia.*

SCENA IV.

EWA I MAREK *potem* MATKA.

MAREK *ogląda się, że go już niema, podbiega do niej, cicho.*

Widzi pani... ja się tego tak boję... ja się dlatego tak boję, bo... Pani wie — to się nie może, to się nie powinno stać... Oh! *Chwyta się za głowę.*

EWA *zrozumiała, patrzy na niego przerażonym wzrokiem.*

Czy... to...?

MAREK,

Nie! nie, nie! ah! nie! Ja tylko... powiedziałem pani... boję się nieszczęścia... Nieszczęścia się chorobliwie boję! Ale skąd... nie wiem... Więc przyszło mi na myśl...

EWA *oddycha z ulgą — spokojniej.*

A!.. — Niech się pan uspokoi. Nic złego stać się nie może. Pan chory. *Wyciąga do niego rękę. Stoją blisko siebie. W tej chwili wchodzi Andrzej głębia. Wbiega szybko, zdyszany, twarz mieni mu się wstydem. Tamci oboje mimowoli rozchodzą się.*

ANDRZEJ,

Przepraszam... zapomniałem parasola... Deszcz będzie.. przepraszam... *Bierze z kąta parasol i wychodzi.*

EWA *p. ch.*

Boję się o Andrzeja. Dziwny jakiś... *p. ch.* Oh! żeby już przyszła! żeby tylko przyszła!

MAREK.

Przyjdzie... przyjdzie... Albo ją przyniosą... *Siedzi z prawej, chorobliwie, wyciągając przed siebie ręce, jak-gdyby miał wizję. Widzę ją... ciągle to widzę... leży.. głowa na cienkiej szyi odrzucona w tył... oczy bielmem zasze... Oh! zasłania oczy.*

EWA *prawie z krzykiem.*

Marku! — *p. ch.* Andrzej miał słuszość. Chory pan jest i denerwujesz nas wszystkich. Mnie nawet zdenerwowałeś.

MAREK *z chorobliwym śmiechem.*

I poco to się oszukiwać? Wszyscy przecież mamy dziś od rana ten obraz przed oczyma. *Ewa drgnęła.* Tylko nikt nie ma odwagi powiedzieć tego drugiemu. A ja mam! Chcę zajrzeć złemu w samą twarz... Myśli pani, że ja nie czuję, że obecność moja ciąży wam? Czuję — ale zostać muszę. Muszę. Aż się to stanie.

EWA.

Nie!

MAREK.

Przecież to i dla mnie... Pani wie... Oh, jak ja czekam jej powrotu, jakem ja jej szukał dzisiaj... Przecież i ja... Ja może nawet więcej... Może to nawet dla mnie ważniejsze, niż dla was...

EWA.

Co?

MAREK.

Ja chcę wiedzieć, ja muszę wiedzieć, czy... Bo od tego zależy dla mnie...

EWA.

Co?!

MAREK *cicho.*

Czy teraz, czy u was stanie się to, com ja zobaczył... Czy stanie się... nieszczęście...

EWA *z mocą.*

To się nie stanie! Nie się nie stanie! Rozumie pan? Ja nie chcę, aby się stało!

MAREK *opadł znowu nerwowo, — miękko, chorym, skarżącym się głosem.*

Tak, Ewuś, tak... prawda, że się nie stanie? Bo inaczej, jabym...

EWA *cicho.*

Oh, w tej chwili prawie nie lubię pana! *Milczenie. Po chwili drzwi z lewej w głębi otwierają się. Oboje drgnęli. Wchodzi przez nie matka w kapeluszu i okryciu, zachmurzona, obrażona.*

MAREK.

Ah!

EWA.

Mama?! *Z radością biegnie ku niej. Mama! Bierze ją za rękę. Ah, jakże to dobrze, że mama jest! Jak to dobrze! Oddycha z ulgą, uśmiecha się. Marek wstał i poszedł ku niej także.*

MATKA.

A? cóż to za czułe przywitanie? Nieprzyzwyczajona jestem do tego!

EWA.

Ach, jak to dobrze! ah, jakże to dobrze! *Chce jej pomódz rozebrać się.*

MAREK

ledwie mogąc mówić, osłabiony, z radosnym, choć bladym uśmiechem, szepce.

A!.. Tak... tak... to dobrze... to bardzo dobrze... *Chwieje się wzruszony, opiera się o stół. O Boże... Więc... a a!*

EWA.

No widzisz Marku, no widzisz... Tak, niechże mama zdejmie okrycie...

MATKA.

Nie! przyszedłam tylko po swoje rzeczy. Ani chwili nie zostanę w tym domu.

EWA.

Ale co tam! Ale co tam! Poróżniliście się z Andrzejem, to się i pogodzicie... Andrzej był taki niespokojny... o mamó, mamó...

MAREK *usiadł na boku, — jest wzruszony bardzo i osłabiony. Przemyka oczy, uśmiecha się.*

EWA.

No widzisz, Marku! no widzisz! — Mówiłam! wróciła! Jest! cała, zdrowa! No widzisz... O moja mamó całuje ją w rękę.

MATKA *z udanem zdziwieniem.*

A wam co się stało? Skądże taka radość?

EWA.

Nic, nic... Byliśmy niespokojni... Byliśmy tacy niespokojni... *Matka zaczyna wyjmować z szafy różne rzeczy.* Gdzie mama była tak długo?

MATKA.

Byłam na grobie męża... mojego nieboszczyka męża... Poskarżyć się mu poszłam... *Pociąga nosem.*

EWA.

Ale przecież nie była tam mama przez noc całą?

MATKA.

Nie chciałam ani chwili dłużej pozostać w tym domu, gdzie mnie obrażono śmiertelnie... *Z naciskiem.* Spałam w hotelu. W tym domu niema miejsca dla mnie. *Przerzuca rzeczy.*

EWA.

Ja myślę, że się to jakoś ułoży...

MATKA.

Nigdy! Choćby mnie teraz na klęczkach prosił! Ja sama teraz nie chcę! W t y m d o m u *z naciskiem*, niema miejsca dla mnie! Rzeczy tylko spakuję i wyjeżdżam. *Zabiera rzeczy i wychodzi na lewo w głębi. Ewa i Marek patrzą na siebie.*

MAREK *wzdycha głęboko kilkakrotnie, jak ktoś, co uniknął wielkiego niebezpieczeństwa. Uspakaja się. p. ch.*

..Tak... tak... i niema tragedyi... Myśleliśmy, że to tragedia, a to tylko zwykła, powszednia, pospolita farsa.

EWA.

Cieszymy się, że się tak stało. Tak się już bałam!

MAREK.

Tak... cieszymy się... *P. ch.* Ot, życie... *Nagle wstaje, chce iść na lewo w głąb.*

EWA.

Gdzie pan idzie?

MAREK *z ironicznym uśmiechem.*

Idę podziękować... jej. Podziękować, że żyje. *Wychodzi.*

SCENA VI.

EWA sama, potem ANDRZEJ.

EWA patrzy za nim, potem patrzy przez okno, spostrzegła widać Andrzeja, bo biegnie nagle do drzwi w głębi. Za małą chwilę wchodzi z Andrzejem.

EWA z radością, za sceną jeszcze.

Jest! Przyszła! wchodzi rozradowana, uczeptiona u jego ramienia.

ANDRZEJ wchodząc, chmurny ciągle.

Wiem. Widziałem ją, jak wchodziła do bramy.

EWA.

I nie przyszedłeś zaraz?

ANDRZEJ uśmiecha się blado.

Jestem przecie.

EWA.

Ah, Andrzeju! Jakże to dobrze! jakże ja się cieszę! A takeśmy się bali! Ah! jakaż ona... Żeby nam tyle napędzić strachu! No! ale teraz już wszystko dobrze! Prawda? Chmura już poszła precz — co? Śmieje się. Oh, takam rada! takam rada! Oh, ty! całuje go serdecznie.

ANDRZEJ obejmuje ją dopiero teraz i patrzy na nią.

Balaś się? i ty się balaś?

EWA.

Oh! i jak!

ANDRZEJ j. w.

A teraz się cieszysz?

EWA.

EWA *wesoło.*

Oh! i jak!

ANDRZEJ.

Bo teraz już wszystko będzie po dawnemu... prawda?

EWA.

Tak! teraz wszystko będzie po dawnemu! *Tuli się do niego.* Ach Jędrus... tak mi było straszno dzisiaj... O ciebie. Tyś był taki... taki... Czuleś się winnym, prawda? *Andrzej kina głową.* Taki byłeś pochmurny jakiś, taki... oh! Ale teraz wszystko już dobrze! Teraz się cieszysz... prawda?

ANDRZEJ.

Tak...

EWA.

Oh ty mój...

ANDRZEJ.

Kochasz mnie jeszcze, kochasz mimo to?

EWA.

Ciebie?... Ależ, gdybyś nawet popełnił zbrodnię, musiałabym cię kochać! A może nawet kto wie?... może kochałabym cię tem więcej? Nie nie! więcej już nie można, nie można, nie można! *Tuli się do niego.*

ANDRZEJ.

Jakaś ty dzisiaj... Nigdy nie byłaś taka...

EWA.

Tak się cieszę, widzisz, tak się cieszę.

ANDRZEJ *jakby do siebie, puściwszy ją.*

Zbrodnię... tak... ach, któż z nas jest pewnym, czy nie popełnił zbrodni.

EWA *miętko, zarzucając mu ręce na szyję.*
Jędrus... Jeszcze?...

ANDRZEJ *obejmuje ją znowu i patrzy jej w oczy.*

Jabym... jabym na przykład mógł popełnić zbrodnię... gdybyś na przykład... no tak, przypuśćmy tylko... gdybyś ty mnie zdradziła?

EWA *śmiejąc się, zamyka mu ręką usta.*
Także pomysł!

ANDRZEJ *śmieje się także nieszczerze.*

No... ja przecież żartuję tylko... No powiedz, co ja bym mógł zrobić?

EWA *spokojnie, patrząc mu w oczy.*
Zabić.

ANDRZEJ *drgnął.*

Kogo?

EWA *powoli.*

Powinieneś mnie wtedy zabić.

ANDRZEJ.

Ciebie?... Ciebie!... Nagle z wybuchem. O Ewuś, Ewuś moja, moja! moja! moja?! Z nagłym ożywieniem prowadzi ją ku sofie, sadza ją na niej, sam siadając obok. Ja ciebie... ja ciebie.. Ależ ja nigdy... Ależ ja nie o tem... Nie! co też ty nie wygadujesz... O ty, ty... *Całuje jej ręce wzruszony.* Ja ciebie? ja... ciebie? O ty moje złoto... ty moje...

EWA *wzruszona także, powoli.*

Czy ty wiesz, Jędrus, żeś ty mnie pierwszy raz od wczoraj... pocałował?

ANDRZEJ

Moje ty złotości cudne... Zdenerwowany byłem... Z *nagłą radością*. Ale teraz... teraz jestem szczęśliwy... teraz, teraz... Więc już dobrze, więc już wszystko dobrze... Wszystko będzie po dawnemu... co? co?... *Za-
gląda jej w oczy, całuje po rękach, twarzy i włosach*. O ty moja... Jak ja się bałem! jak ja się bałem... spojrzij mi w oczy... O, jak ja pomyśleć mogłem.

EWA *przygląda mu się*.

Nie chcesz zobaczyć się z matką?

ANDRZEJ.

Nie... Gdzie Marek ?

EWA.

U niej... *Nagle, zarzucając mu ręce na szyję*. A co mi tam! Wszystko ni jedno, byleś ty tylko był przy mnie!

ANDRZEJ *radośnie, ze łzami w głosie*.

Tak... prawda, prawda... O ty moje, ty moje... *Ca-
łuje jej kolana*. Com ja przeszedł... com ja przeszedł... o Boże! *Zmęczony kładzie głowę na jej kolanach*.

EWA.

Marek także cię zdenerwował... Powiemy mu, aby się wyniósł od nas... dobrze ?

ANDRZEJ.

Ależ nie... Ależ nie... poco? Czy ci zawadza? Mnie nie! jam spokojny! Jam już spokojny! O ty moja..

EWA.

Jędrus...

ANDRZEJ.

Co ?

EWA.

Powiesz mamie, aby została... co ? pakuje rzeczy, chce wyjeżdżać... Ale gdzie ona wyjedzie biedaczka?

ANDRZEJ.

Naturalnie! Ależ naturalnie! Cóżby ona ze sobą zrobiła? Przecież na całym bożym świecie nie ma nikogo, prócz mnie. Teraz niech zostanie. A niechże sobie zostanie! Niech gada, co chce! co jej się żywnie podoba! Jam już silny! Jam... O ty moje skarby najmilsze... ty moje bóstwo jedyne! Jam zły, ja jestem taki, taki zły... Aleś ty powiedziała, że gdybym i zbrodnię... Oh! gdybyś ty знаła moje myśli... moje złe, straszne myśli... Nie nie... Jakim ja szczęśliwy! Jakim szczęśliwy! o Boże!

EWA.

Drogi mój!

ANDRZEJ.

Wiesz ? mnie wszystkiego za mało. Obejmuję cię, ściskam, całuję... ale mam cię za mało. Za mało czuję, że cię mam. Bij mnie, bij, depcz, kop... paznogciami po twarzy drap... Abym czuł, że cię mam, żeś ty moja... że cię mam tu, przy sobie. *Osuna się jej do nóg.* Chcę być niewolnikiem, psem twoim, u nóg ci leżeć i w oczy ci patrzeć... Depcz mnie, jak psa, jak psa... tylko mnie kochaj... Tylko moją bądź... tylko moją... *Uniesienie jego przechodzi w łkanie prawie.* O ty moje... ty moje...

EWA.

Jędrus... Jędrus... no uspokój się... tak nie trzeba... nie trzeba! *Obejmują się silnym uściskiem.*

ANDRZEJ *szeptem.*

Jabym się chciał upić tobą! upić na śmierć! byle tylko nie myśleć... nie pamiętać...

EWA.

No już dobrze... przecież już wszystko dobrze.

ANDRZEJ.

Tak... tak... *Opiera twarz na jej kolanach, nagle zrywa się.* Chodź! będę cię malował! Wczoraj rano naszkicowałem już Aryadnę.

EWA *wstaje.*

Możebyś poszedł wprzód do mamy?

ANDRZEJ *wesoło.*

A dobrze! dobrze! *Biegnie ku lewej w głębi i woła.* Mamo! Mamo! *Biega po pokoju, przygotowując wszystko do malowania.* Za chwilę wchodzi matka bez okrycia i kapelusza. *Ewa usuną się do sypialnego pokoju.*

SCENA VII.

ANDRZEJ. MATKA.

MATKA *staje, patrząc na niego pytająco.*

ANDRZEJ *wesoło, krzając się.*

Proszę, niech mama wejdzie, proszę... No widzi mama, no widzi mama... narobiła nam mama wszystkim zmartwienia. I poco to było...? no, poco?

MATKA *zaplakana.*

Umyślnie to zrobiłam. Tak, chciałam was nastra-

szyć. Za moją krzywdę niechże i oni pocierpią... myślałam.

ANDRZEJ *wesoło*.

No widzi mama, jaka to z mamy niedobra kobieta... Ale ja się nie gniewam... wczoraj byłem dla mamy... no byłem brutalny... Przepraszam mamę... Odwołuję to, com powiedział wczoraj... Naturalnie zostaje mama u nas... co, prawda?

MATKA.

Nigdy!

ANDRZEJ.

No no, tylko nie tak gwałtownie. I poco tu wychodzić na wysokiego konia? «Nigdy, nigdy!» to się łatwo mówi! Ale zrobić to nie tak łatwo! To się tylko tak w sztukach, w teatrze wykrzykuje: nigdy! Ale w życiu... *Staje przed nią*. No i gdzież się mama podzieje? Gdzież mama pójdzie... co?

MATKA *placząc cicho*.

Pod kościół zebrać pójdę...

ANDRZEJ.

No no... niechże mama nie płacze... pogodzimy się jakoś...

MATKA *z cichym, szczerym żalem*.

Myślisz, że o to płaczę, że kąta swojego nie mam? O to, że ty mnie już nie kochasz, płaczę! o to!

ANDRZEJ.

No no... Cóż znowu! skądże to przypuszczenie?

MATKA.

Wczoraj, kiedym do domu na noc nie przyszła, nie

wiedziałeś nawet o tem... A dzisiaj nie szukałeś mnie wcale.

ANDRZEJ.

Ależ...

MATKA.

Tak tak... Wiem ja, co mówię. Justyna mi mówiła, ona, choć prosta dziewczka i obca i taki kołtun a płakała za mną... a ty...

ANDRZEJ.

No mamom... *Stoi chmurny, zmarszczynwszy brwi.*

MATKA.

Nie kochasz mnie już, nie kochasz... *Pokazuje na lewo.* Ja kochasz... A ja wypróbować chciałam... A jej, gdyby tak całą noc nie było, albo dziecka, co byś robił? jakbyś latał!

ANDRZEJ.

Matko!

MATKA.

No no! dajno pokój! już ja wiem, co wiem!

ANDRZEJ.

Aha, dobrze, że mama na Ewę zwróciła rozmowę. Przedewszystkiem muszę mamie powiedzieć, że Ewa jest niewinna. Przekonałem się o tem. Słyszysz mama? *Z naciskiem.* Przekonałem się o tem!

MATKA.

Dobrze, dobrze! słyszę! Chciałeś wczoraj, abym odwołała to, com powiedziała o niej. Dobrze więc... odwołuję to, odwołuję.

A?!

ANDRZEJ *uderzony tem.*

MATKA.

Eweia niewinna, ja wiem... To tylko ja potwór, piekielnica... No cóż... zadowolony jesteś ?

ANDRZEJ.

Więc... więc uznaje mama swoją winę względem niej?

MATKA.

Uznaję, uznaję *z udaną pokorą.*

ANDRZEJ.

I zostaje mama u nas?

MATKA.

Naturalnie, że zostaję. Gdzieżbym się podziała?... Chciałam was tylko nastraszyć.

ANDRZEJ *patrzy na nią.*

Jaka mama nagle dziwnie szczerą się zrobiła.

MATKA.

Ojciec mnie natchnął. Rozmawiałam z nim długo — tam, przy grobie... Radziłam się...

ANDRZEJ *podnosząc powoli do ust jej rękę.*

Dziękuję mamie.

MATKA *ciągle cicha i skruszona.*

Duszyeczka jego święta była przy mnie. Czułam ją. Co mam zrobić, pytam? A on mi na to — wyraźnie w duszy głos jego słyszałam... Znieś i to jeszcze, Honorciu, znieś i to... Kogo Pan Bóg kocha, na tego krzyże nakłada...

ANDRZEJ.

Więc — zostaje mama? Odwołuje mama i zostaje?

MATKA.

Ale tak — tak! Odwołuję i zostaję! Nic nie widziałam... nie nie słyszałam... odtąd jestem głucha, niema... A co mi tam wtrącać się w nieswoje rzeczy... *wzrusza ramionami, zwracając się do odejścia.* Nic nie widziałam! nie nie słyszałam...

ANDRZEJ *patrzy na nią niepewny — gad podejrzenia*
znowu ukąsił go w serce.

Matko...

MATKA *cicho — prawie do siebie.*

Czego to człowiek nie zrobi dla chleba... dla świętego spokoju *wychodzi.*

ANDRZEJ.

Oh! *przesuwa ręką po czole.*

SCENA VIII.

ANDRZEJ, EWA, potem MAREK.

EWA *wchodzi z lewej z frontu, z rozpuszczonymi włosami,*
z uśmiechem.

I cóż? Zostaje?

ANDRZEJ *nie patrząc na nią.*
Zostaje...

Chwała Bogu!

EWA.

ANDRZEJ *chmurnie.*
Cóżżeś tak rozpuściła włosy?

EWA *zdziwiona.*
Miałam ci pozować przecież...

ANDRZEJ.

A tak, prawda... *Ewa wychodzi na podium, Andrzej zabiera się do pracy. — Ewa chce zdjąć kołnierzyk. — Andrzej żywo* Nie! nie zdejmuj! Do głowy tylko!

EWA *zdziwiona.*

Wczoraj mówiłeś przecie, że nie widzisz szyi...

ANDRZEJ *krótko, pchmurny.*

Tak — ale dzisiaj nie chcę.

EWA.

Andrzeju... jeszcze? *Pozuje mu, Andrzej maluje. Po chw.* Znowu ci mama musiała coś powiedzieć... Ale trudno, mój drogi. Nie trzeba na to zwracać uwagi. Nie trzeba się tak poddawać.

ANDRZEJ *z gryzącą ironią.*

Trudno mi się jakoś do tego przyzwyczaić.

EWA *wzdycha.* — *Milczenie.* — *Po chwili wchodzi z lewej Marek.*

MAREK *chodzi po pokoju i milczy.* — *Pauza.* — *Po chw.*

Tak... tak... więc wszystko już dobrze... Wszystko po dawnemu... *Po chw., stając.* Dziwna rzecz jednak... My wszyscy nie cieszymy się jakoś... co? *Tamci milczą.* Co do mnie, to... głupio to powiedzieć, doprawdy... Ale doznaję nawet jakby uczucia niezadowolenia, czy niesmaku... Czy pani zauważyła, że kiedy się czegoś bardzo obawiamy, to kiedy się to nareszcie stanie, doznajemy uczucia pewnej ulgi. To się nie da tak sformułować jasno... Ale prócz rozpacz z powodu nie-szczęścia — nawet beznadziejnej rozpacz, jest w nas wtedy jakieś uczucie prawie ulgi... Żeśmy się już po-

zbyli gniotącego nas ciężaru... Ja wiem — to, co mówię, wydaje się wam może potwornem... Ale przecież najstraszniejszym ze wszystkich uczuć jest trwoga... Ah, ta trwoga!... Ale teraz... Teraz jam już ozdrowiał.

ANDRZEJ.

Z nieszczęścia?

MAREK.

Nie — nieszczęście moje pójdzie ze mną wszędzie. Ale z choroby. Chory byłem, teraz jestem zdrów, zupełnie zdrów. *Z ironią.* Wiecie? Przed chwilą złapałem się nawet na myśli, co też będzie na obiad?

ANDRZEJ.

Znowu autoanaliza...

MAREK.

A znowu... a zawsze... Cóż chcesz. To już taka psia natura! *Nagle.* No... Dziękuję wam.

ANDRZEJ.

Za co?

MAREK.

Uzdrowiliście mnie. To wyście mnie uzdrowili. Wasz dom. Kiedym tu wszedł po paru miesiącach niebytności, zdawało mi się — nie, uderzyło mnie odrazu w twarz mocne uczucie, że tu się coś popsulo. A tymczasem...

ANDRZEJ.

A tymczasem nic się tu nie popsulo...

MAREK.

Tak... widzę to. *Z ironią.* Wy, kochająca się para... dużo dzieci... stara, gderająca matka... Nie psująca szczęście siła fatalna, wroga — nie, zwykła gderająca babcia, której gderanie puścić można mimo uszu i żyć

z tem doskonale... Niema tragedyi... Omyliłem się... Farsa, nie więcej... Wszędzie farsa.

ANDRZEJ *ciągle z ukrytą ironią.*
Zmieniłeś zdanie?

MAREK.

Tak, od wczoraj zmieniłem zdanie... Cóż chcesz? Wszak «krowa tylko nie zmienia przekonań...» *Przypatrując się Ewie, zamyślony.* Ewuś — jaka pani śliczna... Te włosy, te cudne, złociste włosy... *Głaszcze je w zamyśleniu.*

ANDRZEJ *nervowo.*

Proszę cię — odejdz. Pozę zepsujesz... *p. ch.* Wiesz? Robisz na mnie wrażenie, jakgdybyś się martwił tem, że się u nas nic złego nie stało. Bo u nas się nic złego nie stało... prawda, Ewuś? — Poruszyłaś się. Głowę więcej na prawo. Tak.

MAREK *zamyślony.*

Czy ja wiem... czy ja sam wiem, co ze mną... Nie-swojo mi jakoś... *Nagle.* Bądźcie zdrowi!

ANDRZEJ.

Wychodzisz?

MAREK.

Nie — wyjeżdżam.

ANDRZEJ *zrywa się, rzuca pędzel.*

Wyjeżdżasz? Co, naprawdę wyjeżdżasz? *Patrzy na Ewę.*

MAREK *przyglądając mu się z pod powiek.*

A ty znów robisz na mnie wrażenie, jak gdybyś się cieszył z tego, że ja wyjeżdżam. *Andrzej unika jego wzroku.* Marek *nagle, uderzając go silnie po ramieniu.* Andrzej! *Patrzy nań badawczo i poważnie.*

ANDRZEJ *zmieszany.*

Ależ... co znowu... Obrażasz mnie... Właśnie... *Nagle stanowczo.* Właśnie miałem cię prosić, abyś został... *Nie patrząc na nich.* Nie chciałem zostawić Ewy bez opieki wobec tego, co dziś...

MAREK *patrzy nań bystro.*

A ty...?

ANDRZEJ *j. w.*

Ja... Jechać muszę do Wiednia. Na parę godzin tylko... Widziałem się z Kopfem przed chwilą właśnie... Mówił, że mój «Orkan» sprzedany...

EWA *z radością.*

A! nie nie mówiłeś?

ANDRZEJ.

Byłem taki zdenerwowany... A on tak mi tylko, w przelocie... Otóż mamy tam jutro jechać razem... Po pieniądze... Ten Szwab kupił... Wiesz... Pojechać tam wypada... wrócę późno... Najpewniej pojutrze...

EWA.

Wolałabym, żebyś teraz nie wyjeżdżał.

ANDRZEJ.

Teraz? dlaczego nie teraz?... *Do Marka.* Więc zostajesz? *Do Ewy.* Zwiń włosy — nie będę malował. Nie mogę.

EWA *związa włosy.*

MAREK.

Ha... jeżeli chcesz koniecznie... W takim razie... to stanie się tutaj.

ANDRZEJ.

Co?

MAREK.

Jestem, jak kobieta w pewnym wypadku... Nic wam nie mówiłem, a od trzech dni, odkąd tu jestem, mam pomysł do nowego dramatu...

EWA.

A?...

MAREK.

Tak... wczoraj nawet — w nocy — napisałem już coś... Jeżeli więc jeszcze tu zostanę, to porodzę tutaj...

ANDRZEJ *ze spojrzeniem na Ewę.*

Niesmaczny żart...

MAREK *do Ewy.*

Przepraszam... Ale teraz pozwólcie, że wyjdę na miasto. I tak niema już co zachowywać incognita. Widzieli mnie rano — biegałem jak warjat... *Wychodzi z ukłonem dla Ewy.*

EWA

podchodzi do Andrzeja i kładzie mu rękę na ramieniu.

Nic nie mówiłeś o «Orkanie»? Dlaczego?

ANDRZEJ *nie patrząc na nią.*

Zapomniałem.

EWA.

A swoją drogą, dobrześ zrobił, żeś zatrzymał Marka. Dopóki tego nie napisze, co zaczął, nie opuści go zdenewrowanie. Potem się uspokoi. Ja go znam.

ANDRZEJ *zaledwie już powstrzymując rosnące w nim ciągle od wyjścia matki wzburzenie.*

Tak... ty go znasz lepiej odemnie. Nagle. Jakże to dawno się znacie?

EWA.

O, już chyba z dziesięć lat albo i więcej.

ANDRZEJ.

Znałaś go dużo dawniej, niż mnie...

EWA.

Chwilami zdaje mi się, że go znała zawsze... On był zawsze zbyt nerwowy, a ja spokojna... Lubił też przebywać ze mną. Uzupełnialiśmy się...

ANDRZEJ *j. w.*

Dziwna rzecz, dlaczego on mnie dawniej z tobą nie zapoznał...

EWA.

Cóż chcesz? Nasz dom był tak cichy... Nie przyjmowałyśmy prawie nikogo...

ANDRZEJ.

Więc tak bardzo lubiliście się?

EWA.

Czy ja wiem... Czasem brak mi go, a czasem wolę go nie widzieć... *z uśmiechem*. Lubię go i nie lubię, jak się lubi i nie lubi siebie samego. Wiesz... kiedy się dowiedział, że cię kocham, był nawet przez jakiś czas zazdrosny! A jakże! Ale to minęło prędko.

ANDRZEJ.

Minęło?... A... A czy nigdy... czy nigdy nie było między wami jakiegoś... jakiegoś serdeczniejszego uczucia? Tak, dawniej, w pierwszej młodości?...

EWA *wybuchając śmiechem*.

Hahaha! Ja i Marek? Także pomysł! Znaliśmy się przecież od dzieci! *Odwraca ku sobie jego twarz, z uśmiechem*. Ale co to? Czyżbyś był zazdrosny? O Marka? Hahaha! Jędrus, no pokaż-że tę zachmurzoną twarz...

Nie, on doprawdy... Oj, ty, ty... Co to za myśli w tej niemądrej, dziecinnej głowie... Nie, nie! Marek mówił zawsze, że nie lubi blondynek... Wprawdzie perswadowałam mu zawsze, że jestem ruda... Ale nie nie pomagało! Śmieje się, trzęsie głową, włosy jej, które tylko luźno skręcone były w węzeł, rozsypują się. Z lekką złośliwością No cóż — czy jestem blondynką czy rudą?... Spojrz na mnie. Jędrus... no, Jędrus...

ANDRZEJ patrzy na nią, obejmuje ją namiętnie, ona tuli się do niego, owijając go swymi włosami.

O... ty... ty... Jakaś ty piękna... Jaka kusząca... Jakaś ty... Ewa przymyka oczy i gniewnie mu się w rękach. — Szeptem. Zdaje mi się, że cię nigdy dotąd nie widział dobrze... Pierwszy raz widzę w tobie... obejmuje ją ciśniej, namiętnie, cicho, prawie z nienawiścią Oh... ty... Ewo... kusicielko! Patrzy w nią.

EWA z przymkniętymi oczyma.

Cóż — nie pocałujesz żony? Nie podziękowałeś mi za pozowanie... No, pocałuj... Wiesza mu się na szyi i podaje usta do pocałunku.

ANDRZEJ wpatruje się w nią — przez zęby.

Prosisz? Kuisz? Dotąd jam zawsze prosił... Odkądże to nauczyłaś się prosić o pocałunki? Namiętnie, chce ją pocałować. — Zduszonym szeptem O ty... ty....

EWA nagle uchyla ust i odtrąca go silnie.

Nie!... Patrzy weń rozszerzonymi oczyma i dyszy ciężko, osłaniając się płaszczem włosów.

ANDRZEJ wyciąga ku niej ręce.

EWA j. w.

Nie! nie, nie!! Teraz nie! teraz nie!

ANDRZEJ *jak pijany, chce ją objąć siłą.*

Musisz... musisz...

EWA *wyrywa mu się i biegnie daleko od niego, patrząc nań groźnie z pod brwi ściągniętych.*

Andrzeju!!

ANDRZEJ *oprzytomniał, patrzy na nią,— zwinął się i skurczył pod jej wzrokiem — nagle, bez słowa wybiega na lewo.*

EWA *stoi na środku pokoju, patrząc za nim rozszerzonymi oczyma. Nagle biorąc obu rękami złote fale swych włosów zasłania nimi twarz. — Ze zgrozą.*

Oh!...

Zasłona spada.

AKT IV.

Pracownia Andrzeja — wieczór. Na stoliku z lewej stoi lampa, od której pada dość jasny blask naokół — reszta pokoju tonie w cieniu.

Przy stoliku siedzą Andrzej, Ewa i Marek. Marek z prawej przy samym stoliku, Ewa także tuż przy lampie z lewej — Andrzej opodal na kanapie.

SCENA I.

ANDRZEJ — MAREK — EWA.

MAREK

czyta coś głośno z luźnych kartek, które leżą na stole — tamci słuchają — Ewa z robotą w rękę.

MAREK *kończąc czytanie.*

Jerzy: Z czasem przyzwyczaimy się i do tego...
Marya: Tak, z czasem przyzwyczaimy się... Jerzy: I tak przejdzie życie... Marya jak echo: i tak przejdzie życie...
Kładzie kartki na stole, mnąc je nerwowo. — Milczenie.
Ewa wzdycha.

ANDRZEJ *wstając.*

I tobie się zdaje, żeś napisał nasz dramat.

MAREK.

Alboż nie?

ANDRZEJ.

Historya nasza, ale ci ludzie, to nie my...

MAREK.

A nie... Inne jest także zakończenie tej tragedyi... *Ewa patrzy na niego.* Ale go nie przeczytam... Jeżeli to kiedykolwiek wykończę, jeżeli to w ogóle pokażę ludziom, to z tem zakończeniem.

EWA.

Dlaczego? A cóż tamto?

MAREK *wstając.*

Tamto zostanie dla mnie. Będzie to dla mnie kiedyś przyczynek do historyi mojego życia — mojego wewnętrznego, duchowego życia. *Chowa manuskrypt do kieszeni.*

ANDRZEJ *z ironią.*

I takie zakończenie jest dobre. Efektowne... pełne ironii...

EWA.

Dziwne to jednak, żeby zaczynać pisać dramat od końca — od ostatniego aktu.

MAREK.

Alboż to nie najważniejsza rzecz? to jest właściwie jedynie potrzebna rzecz. Ostatni akt. W tem się mieści wszystko. Dusza dramatu. Alboż wszystkie dzieła sztuki nie są ostatnim aktem jakiegoś nienapisanego dramatu? Alboż każdy obraz Andrzeja nie jest nim?

ANDRZEJ *stojąc przed swym obrazem.*

Może i masz słuszość.

MAREK.

Wszak my wszyscy odczuwamy przedewszystkiem moment najsilniejszy, tragiczny, katastrofę... To uderza naszą wrażliwość, to wyczuwamy z otoczenia — to jak-gdyby wychwytujemy z powietrza, w tem też jesteśmy twórcami — odgadywaczami — magami i wieszczami. Resztę dorabiamy tylko. Tak samo ty, jako malarz, jak ja, jako dramaturg. To też sędzę, że właściwie powinniśmy tworzyć same ostatnie akty tylko — te wi-zye, te nagłe uderzenia w mózg — tę istotę dzieł. Re-szta, to rutyna i robota techniczna.

ANDRZEJ.

Paradoksiarz jesteś...

MAREK.

Wcale nie... *Z chytrym, ironicznym, nerwowym chi-chotem, jak ktoś, komu się udało wypłatać figla* Zresztą... to jest mój sposób. Taka łapka na mnie samego. Ude-rzy mnie coś — mam chwilę jasnowidzenia jakby... to już nie mam spokoju, dopóki tego nie napiszę. Męczy mnie to i dusi... siedzi we mnie, jak kamień i dener-wuje dopóty, dopóki tego nie wypluję. Jestem wtedy zawsze zdenerwowany, chory jak... no, jak kobieta przed... *w stronę Envy, z ukłonem, przepraszam!* Wzię-łem się więc na sposób. Kiedy się tak pali we mnie, że już wytrzymać nie mogę, rznę sobie ostatni akt... koniec! I mam już spokój! *wkłada ręce w kieszenie, chi-chocząc.* Czasem nawet nie «dorabiam» reszty.

EWA.

A... A to... dokończy pan?

MAREK.

A poco? Zresztą czy ja wiem... *Zamyślony.* Czło-wiek nie nie wie... Ani o sobie, ani o drugich...

ANDRZEJ.

Źleś zrobił, żeś nam to przeczytał.

MAREK.

Źle? A może... Czy ja wiem, czy ja wiem... Co jest źle a co dobrze? *Nagle.* To też mówię wam... Lepiej będzie, jeżeli wyjadę... Jutro wyjeżdżam!

EWA *wstając.*

Jak to już późno... Zmęczona jestem... Staś zasnął w jadalnym pokoju... Pójdę go zabrać. *Wychodzi na lewo w głąb.*

MAREK.

Ewa dziwna jakaś... Czy co zaszło między wami?

ANDRZEJ.

Nie... Co znowu...?

MAREK.

Nie mówi do ciebie... Nie patrzy nawet...

ANDRZEJ *zdenewrowany.*

Zdaje ci się.

MAREK.

Ależ tak! Uważałem! Od obiadu nie przemówiła do ciebie ani słowa. A i ty unikasz jej.

ANDRZEJ.

Ah, mój drogi... Troskliwość swoją posuwasz za daleko...

MAREK.

A!... Przepraszam... *Staje przed obrazem, który był poprzednio na stalugach, a teraz stoi na krześle pod oknem, oparty o ścianę.* Hm... hm... A jednak twoja matka miała słuszość... To są rysy twojej żony...

ANDRZEJ *biegnie do obrazu, porywa pędzel z ciemną farbą i jednym ruchem zamazuje twarz kobiety na obrazie.*

MAREK.

A ?

ANDRZEJ.

Znowu ona! Stając naprzeciw niego z wrogiem spojrzeniem. I ty! Ona i ty! Wyście się sprzysięgli chyba, aby mi zepsuć życie...

MAREK *źdzwiony.*

Andrzeju! Nieprzytomny jesteś chyba. Cóż ja?

ANDRZEJ.

Tak... ty! Ty także! Z twemi chorobliwemi przywidzeniami! *Namiętnie.* Dlaczego wmawiasz w nas wszystkich rzeczy, które istnieją w twojej wyobraźni jedynie? Wmówiłeś w nas, że matka się zabije, a teraz...

MAREK.

A teraz co?

ANDRZEJ.

Czemuś tam napisał, że ten człowiek pragnął śmierci swojej matki? *Stoi tuż przy nim i wpija weń płonące oczy.*

MAREK *nie spuszczaając oczu.*

A... czym skłamał?

ANDRZEJ *nie może wytrzymać jego wzroku.*

Oh! wstrętny jesteś! Potworny jesteś... Boję się ciebie...

MAREK *z bezgranicznym smutkiem, beznamiętnie, patrząc przed siebie. P. ch.*

Biedny ty jesteś, Andrzeju... Biedni my wszyscy...

ANDRZEJ *nagle chwytając go za rękę, tajemniczo.*

Czy... czy myślisz, że... taka myśl, że taka zbrodnica, zła myśl może...? że to tak, jakgdyby czyn... O! Ociera pot z czoła.

MAREK *zasłania się ręką, jak gdyby przed czymś, co widzi.*

...Nie ...nie!

EWA *wchodzi.*

Śpi na sofie... rozebrany zupełnie, jak w łóžeczku... To mama mu tak posłała... Mama tak prosi, żeby go jej zostawić... Powiada, że go strzedz będzie, jak oka w głowie... Taka pokorna jakaś, troskliwa... Nie mam serca odmówić jej, choć nie lubię tego... nigdy jej dziecka nie zostawiam... Ale dzisiaj... Nie mogę zrobić jej przykrości... *Andrzej milczy ciągle — Ewa zwracając się wprost do Andrzeja.* Jak myślisz, Andrzeju?

ANDRZEJ.

Co? *Patrząc na chwilę łagodniej, zmieszany.*

A? tak... zapewne... jak chcesz, zresztą...

EWA.

Powiem, niech u niej zostanie... *Wychodzi — widać, że czyni to niechętnie.* Pierwszy i ostatni raz...

ANDRZEJ.

Widzisz, żeś się omylił... Ewa taka jak zawsze... Nie nie zaszło między nami...

MAREK.

Tak?... tem lepiej... tem lepiej... *Zamyślony obserwuje Andrzeja.*

ANDRZEJ.

Szpiegujesz nas temi twemi psychologicznemi oczy-

ma, spojrzenia liczysz, westchnienia w lot chwytasz, w piersi się wwiercasz... A potem z nas dramat napiszesz nowy, aby nim gawieź bawić — co?!

MAREK zbladł — patrzy na niego poważnie. W tej chwili wchodzi Ewa.

MAREK skłania się jej poważnie, z prostotą.

Dobranoc. Jutro wyjeżdżam. Wychodzi małemi drzwiczkami z głębi z prawej.

EWA.

Ależ... Dobranoc... Patrzy za nim zdziwiona.

ANDRZEJ nie patrząc na nią.

Późno już... Spać iść trzeba. Wychodzi na lewo z frontu. EWA patrzy za nim z westchnieniem, bierze ze stołu lampę, wychodzi za nim. Na scenie robi się prawie ciemno.

SCENA II.

ANDRZEJ, EWA.

Bardzo długa pauza. Ciemno. Z lewej wychodzi cicho napół ubrany Andrzej. Wchodzi na palcach, drzwi za sobą zamykając starannie. Chodzi po pokoju, nerwowo zaciskając ręce. Potem siada na kanapce, opierając łokcie na kolanach i twarz ukrywając w dłonie. Za chwilę wchodzi z lewej Ewa w białym koftaniku i halce, z włosami, zaplecionymi w długi warkocz, wiszący swobodnie z tyłu. Idzie po omacku — staje — woła cicho.

EWA.

Jędrus... jesteś tu... Jędrus?

ANDRZEJ.

...Co?

EWA.

Gdzie jesteś?

ANDRZEJ.

...Tutaj...

EWA.

Dlaczego nie śpisz?... *Podchodzi do niego.*

ANDRZEJ.

Nie wiem... nie mogę... *Nie zmienia pozycji.*

EWA *siada przy nim.*

No, Jędrus... no co ci jest?

ANDRZEJ.

Nic...

EWA.

Andrzeju! co tobie? chcę wiedzieć! muszę wiedzieć!

ANDRZEJ.

Nie wiem... nie wiem... nie mogę spać... nie mogę żyć... *Nagle.* Straszno mi!

EWA.

No Jędrus... no! Uspokój się! Zdenerwowany jesteś... To minie...

ANDRZEJ.

Tak sądzisz? tak sądzisz? *Chwyta jej ręce i patrzy jej w oczy.*

EWA.

Nic się przecież nie stało...

ANDRZEJ *j. w.*

Tak, nic się nie stało... Gdybym wiedział, gdybym napewno wiedział, że się stało, nie żyłbym już... Nic się nie stało... więc... nic się nie stało?

EWA.

Andrzeju!

ANDRZEJ.

To nieprawda! to nieprawda! Stało się coś, czego nazwać nie można, a co jednak... *Szeptem*. Patrz na mnie, Ewuś... Patrz na mnie... Oczy twoje są jak strzały, które zapadają w głąb mej duszy i wydobywają na jaw mnie prawdziwego — mnie, ukrytego przedemną samym... Tak mówiłem — co? tak mówiłem do ciebie? Patrz w oczy moje i powiedz, co tam widzisz... Powiedz, jaki ja jestem? bo ja sam boję się powiedzieć tego sobie.

EWA.

Andrzeju! To, co dzisiaj w południe... Nie mówiliśmy z sobą o tem. Teraz musisz mi powiedzieć...!

ANDRZEJ.

A tak... a tak! To, co dziś w południe... Między nami! Między nami dwojgiem nie może stać nic? Tak mówiłaś? Prawda, tak mówiłaś? O patrz na mnie! Zapaść złote strzały oczu twoich aż na dno duszy mojej... Patrz na mnie i ja się tobie przypatrzę... Chcę cię widzieć... słyszysz? chcę widzieć duszę twoją! Pokaż mi prawdziwą duszę twoją... *Nagle, obejmując ją mocno, z twarzą tuż przy jej twarzy, wpijając w nią wzrok gorączkowy*. O, tyś mnie miała zawsze, mnie całego... Otwierałem się dla ciebie, jak kwiat kielich swój otwiera do słońca. Czytałaś we mnie, jak w otwartej książce... *Gwałtownie*. Ale ty... tyś była zawsze... O! gdyby oczy moje miały zdolność przeniknięcia ciebie! Gdybym ja wiedział, co naprawdę... co tam naprawdę...

EWA *wyrywa mu się — wstaje*.

Andrzeju! — Od rana widzę w tobie coś... co mnie przeraża! Wzrok twój biczuje mnie! Andrzeju! ja chcę wiedzieć, co to jest!

ANDRZEJ łamiąc ręce.

Gdybym ja wiedział... gdybym ja tylko wiedział... Nie, nie! ja w to nie wierzę! mówię ci, że gdybym w to wierzył, jużbym nie żył... A jednak... Ewuś! o Ewuś... *Osuna jej się z płaczem do nóg.*

EWA.

Andrzeju! *Chce mu zajrzeć w oczy.* Andrzeju, czy to prawda? Czy to być może?... Ty wątpisz o mnie?! Ty?!

ANDRZEJ *czolgając się do jej nóg, z cichym płaczem.*

O powiedz, że to nieprawda, Ewuś, powiedz, że tylko mnie kochasz... żeś mnie tylko zawsze kochała...

EWA *stoi, blada.*

Nie... ja nie mogę... Ja nie mogę w to uwierzyć? Więc to, co było życiem mojem, mocą moją... najwyższem dobrem naszym... Ta pewnoś, ta bezwzględna pewnoś miłości naszej to — O! *Ze zgrozą zasłania twarz rękami.*

ANDRZEJ *czepia się sukni jej.*

Powiedz, że to nieprawda, a uwierzę ci... Powiedz, że to nieprawda, Ewuś!

EWA *szeptem, usuwając się.*

Nie dotykaj mnie...

ANDRZEJ *u jej nóg, na ziemi, z twarzą prawie dotykającą do ziemi, przerywanym płaczem głosem.*

Jam nie wierzył... jam z początku nie wierzył.. Wydawało mi się to tak potwornem, jak... Ale jad podejrzenia zapadł mi w duszę głęboko... Spojrzałem ci w oczy... i wierzyłem znowu.. Ale to zostało tam, na dnie... To, czem mnie napojono... Oh, ty nie wiesz. Ewuś, jaki to szatański trunek! Jedna kropla, jedna

maleńka kropelka wystarczy, aby zatruć całego człowieka. Zatruć do szpiku, do kości, zatruć na całe życie!... Ja przecież nie wierzę... Ja przecież naprawdę nie wierzę, abyś ty miała... Nie nie! Prędzejbym uwierzył, że... Oh! mówię, ci, jużbym nie żył!... Ale... A jednak... To wierci we mnie i truje mnie... Jak robak... jak maleńki, zjadliwy robak toczy mnie to... i... Oh Ewuś! ja nie mogę żyć! Ja nie mogę już tak! nie mogę dłużej żyć! O Ewuś, Ewuś moja — ratuj!! *Obejmuje jej nogi, płacząc.*

EWA po chw. twardym, nieswoim głosem, patrząc w przestrzeń, z pod brwi ściągniętych.

Powiedz, co mam uczynić, aby cię przekonać, że jestem niewinna.

ANDRZEJ.

Ewuś, nie mów tak! Ja chyba oszaleję! O gdybyś wiedziała, com ja wycierpiał...

EWA j. w.

Powiedz, co mam zrobić, aby cię przekonać, że jestem niewinna.

ANDRZEJ płacze cicho.

Chcesz wydobyć ze mnie to, czego sam przed sobą boję się powiedzieć... czego sam przed sobą się wstydzę... O Ewuś, Ewuś... *po chw. uspokoiwszy się trochę, nieśmiało i ponuro.* Niech... niech Marek od nas wyjdzie!

EWA drgnęła.

A!... uwalnia się od niego i przechodzi na prawo.

ANDRZEJ wstaje.

Ja wiem... ja wiem... to szaleństwo! To niesprawiedliwość i krzywda! Ja to wiem, ale... Taki już zdener-

wowany jestem... *Chwyta się za głowę* Ja sam już nie wiem... Od wczoraj stałem się podejrzliwym, śmiesznym! Jestem chory!... Przed chwilą krzywdę mu wyrządziłem. Od wczoraj same krzywdy mu wyrządzam. Jestem dla niego opryskliwy, przykry, szpieguję go... tak! ja go szpieguję! Jego, mego przyjaciela! I ciebie! ciebie... Ewuś... Chwilami chciałbym rzucić mu się na szyję i płakać na jego piersi i przepraszać... A za chwilę zdusiłbym go, jak psa! — Ewuś! dlaczego on ma cierpieć przezemnie? Nie będziesz go już zatrzymywała — prawda, że nie będziesz? Marek wyjedzie... co? prawda, że wyjedzie? *Błaga ją wszystkiem, co jest w nim* Ewuś! Ewuś! ja tak proszę!

EWA *twardo po chw.*

Nie. Zostanie.

ANDRZEJ.

Ewuś!

EWA.

Powiedziałam, że Marek u nas zostanie — właśnie teraz. Tak trzeba.

ANDRZEJ *skarżąc się, jak dziecko.*

O Ewuś, nie masz nademną litości! *siada na kanapie.* Oh — ten puszczyk! Odkąd on wszedł do naszego domu, weszło z nim razem nieszczęście!

EWA.

Nie. To nie on wniósł nieszczęście do naszego domu. Nie byłby on, to byłby inny. Tu nie o Marka idzie. Co nam Marek? Tu idzie o to, żeś ty mógł pomyśleć o mnie rzecz taką.

ANDRZEJ.

Już nie myślę... przecież już tak nie myślę... Oh! Ewuś!

EWA.

Nie. Tak być musi.

ANDRZEJ.

O gdybym mógł! Gdybym ja mógł być tym, co wczoraj... Gdyby to wczoraj wrócić się mogło... Gdyby to wczoraj wrócić się mogło... oh! *Załamuje ręce.*

EWA *zapatrzona w siebie.*

Tak... Masz słuszość. Nie stało się nic. Zmiana zaszła nie w wypadkach — ale w nas. W nas samych.

ANDRZEJ.

Tak! Jestem teraz zły! Czuję to, jestem zły!... *po chw.* Czy wiesz, że ten mój wyjazd do Wiednia, to kłamstwo? Podstęp? Chciałem was zostawić samych, aby się przekonać, czy... *Z rozpaczą* Oh, zły jestem! wczoraj jeszcze nie kłamałem — a dziś... Jam to pomyślał! Jam to uknuł! Jam cię okłamał! Ja... ciebie! Ja! ja! ja! Oh! Brzydzę się sobą! *zastania twarz rękami.*

EWA

podchodzi do niego, dotyka jego ramienia — poważnie.

Zło nie przychodzi do nas... Zło jest w nas samych... Musisz się przezwyciężyć, pokonać, Andrzej... Musisz się pokonać! Sam musisz się zwalczyć i wyrównać w sobie. Marek zostanie.

ANDRZEJ *ponuro.*

To jeszcze nie wszystko. Czy wiesz, że... *ogląda się dokoła* czy wiesz, że kiedy matki nie było tak długo ja... Ja w gruncie duszy, tam... na dnie... ja... *szeptem* ja się cieszyłem z tego!

EWA *drgnęła.*

ANDRZEJ.

Cóż mam ukrywać? Sam przed sobą nie chciałem się przyznać do tego... Rozpacz mnie żarła... Ja to pomyśleć mogłem! *Zalamuje ręce* Ja?!... A jednak — tak, ja to pomyślałem. Zabiła się, myślałem... Pewien byłem! I na cóż takie marne życie przydać się komu może? Istnienie jej szkodliwe jest, nie przynosi pożytku nikomu. Tak myślałem. A zresztą co tam! Niema jej! Niema! A ja będę wolny! wolny! *chorobliwie, uderzając się w piersi.* Ja pragnąłem jej śmierci — słyszysz? ja pragnąłem jej śmierci!

EWA *zasłaniając twarz rękami.*

Przestań, Andrzej... przestań!

ANDRZEJ.

Dlaczego mam to ukrywać przed tobą? Dlaczego mam cokolwiek ukrywać przed tobą? Poco mam udawać lepszego, niż jestem? Jestem takim! no, jestem! I cóżem temu winien? Jestem zły! zły! Dotąd sam o tem nie wiedziałem, ale teraz wiem... teraz wiem... Ona mi to pokazała. Ona mnie takim zrobiła. Dlaczego ci tego nie mam powiedzieć? Przecież ty mnie i tak już kochać nie możesz... *Z rozpaczą* Widzisz, że mnie kochać nie można! ze mną już koniec, koniec!

EWA *szeptem, jak do siebie, nie patrząc na niego.*

Nie, nie! Przecież to nieprawda! Przecież to wszystko nieprawda! Przecież się nic nie stało! Nic się nie stało! Przecież cię kocham, tak, kocham! Przecież... nie mogę cię nie kochać.. Przecież — między nami nie może stać nic...

ANDRZEJ.

A czemu dziś w południe nie chciałaś... No spojrzij mi w oczy! A widzisz!... Nie, nie... Inni jesteśmy

teraz... inni oboje. Żli jesteśmy. Kochaliśmy się, kiedyśmy byli dobrzy. Kochaliśmy dobro w sobie. Teraz jesteśmy źli. To ona uczyniła nas złymi!

EWA *przez zaciśnięte zęby.*

Nie mów tak, Andrzej, nie mów tak..

ANDRZEJ.

To ona posiała we mnie to nasienie złego, które wzrasta tak prędko, tak prędko! Spokój nam zatrąła... szczęście nam zbrudziła... Słońce nam zgasiła... Oh!

EWA *twardo i zimno, z zaciętością.*

A potem rzuci w nas inne... A potem jeszcze inne... Aż zeżre nam dusze... nasze dobre, czyste, dziecięce dusze... zniszczy nam je, skruszy, spali na popiół... ta... ta... zmora!

ANDRZEJ.

I nigdy już nie odzyskamy spokoju! nigdy już nie będziemy tymi, co wczoraj.

EWA.

W domu naszym zapanuje złośliwa Podejrzliwość i kwaśna Nuda... I staniemy się sobie obcy... Staniemy się małżeństwem, podobnem do tysiąca innych... Małżeństwem, w którym każde żyje sobie... A po dniu pełnym ścierań się i nieporozumień...

ANDRZEJ.

Zaśniemy snem sprawiedliwych... snem «fabrykanta Niemca przy żonie Niemce...»

EWA.

A w końcu przyzwyczajmy się i do tego...

ANDRZEJ.

A w końcu przyzwyczajamy się i do tego...

EWA.

I tak przejdzie życie...

ANDRZEJ *jak echo.*

I tak przejdzie życie...

EWA *jak gdyby w niej wzrastało coś tak ogromnego, że pierś tego pomieścić nie może, przez zaciśnięte zęby.*

...nie, nie, nie, nie...

ANDRZEJ *pauza.*

Gdzieś ty, Ewuś? Coś stało między nami i zasłania nas sobie... Coś tak ogromnego i ciemnego, że tego przebić nie sposób...

EWA *sama już nie wierząc w to, co mówi.*

Podniesiesz się jeszcze, zwalczysz...

ANDRZEJ *jakby do siebie.*

Zmiany nie zachodzą zewnątrz nas... wszystko, co zewnątrz, to nic... Ale ja... jam dziś inny!... *p. ch.* Słabi byliśmy, słabi... Nagle. I co?... co?! *Rozgląda się dookoła.*

EWA *ciągle nie patrząc na niego.*

Ja ci pomogę, Andrzej... Ja ci pomogę... Przecież my... to jedno...

ANDRZEJ.

Jam dotąd żył tobą tylko, Ewuś! przez ciebie! Tyś mi świat przesłaniała i wszystko widziałem przez słońce, A teraz...

A teraz?

EWA *oddycha głęboko.*

ANDRZEJ.

A teraz... ja cię nie widzę! Patrę na ciebie i nie widzę cię!! *Ewa spogląda wreszcie na niego — patrzy na siebie, przerażeni.*

EWA

szeptem, poruszając ręką, jakby coś odpędzała od siebie...

...Nie nie nie nie!! Przyzwyczajmy się... przyzwyczajmy się...?!

ANDRZEJ.

I nigdy już nie będę mógł dotknąć ust twoich, aby między nami nie stało to...

EWA.

I tak żyć — i tak już żyć do końca... jak inni... jak...

ANDRZEJ.

Wczoraj — a dziś. I co... co się stało?... Jakgdyby mi nagle chmura przysłoniła myśl, rozum, wzrok, ciebie, cały świat... Co to?... Czy to — śmierć?

EWA *j. w.*

I tak już żyć bez... I nigdy już nie mógł być takim, jak dotąd... I nigdy już nie mógł patrzeć na ciebie dawnym, czystym wzrokiem... I nigdy, nigdy już nie mógł... O! *Oddycha ciężko.*

ANDRZEJ *rozgląda się dokoła, rozkładając ręce z cichym płaczem, żałością.*

Gdzie ty? — gdzie ja?... Gdzie nasze wczoraj? gdzie nasza cudna, gorąca miłość?... Gdzie nasz dom? nasz cichy, czysty, słoneczny dom...

EWA *przesuwając ręką po twarzy, jak nieprzytomna i oddychając gwałtownie.*

Nie, nie, nie! Tylko nie to! nie to!!

ANDRZEJ.

Tu był nasz raj... A my po tym raju chodziliśmy czyści i dobrzy, jak aniołowie... Aż przyszedł wąż i pokazał nam zło...

EWA.

I spostrzegliśmy, że jesteśmy nadzy i zaczęliśmy szukać liści figowych...

ANDRZEJ.

I nigdy już, nigdy nie odzyskamy dawnej naszej czystości...

EWA.

...Nie!... nie!! Dosyć, dosyć, dosyć...! *Jest w najwyższym naprężeniu nerwów. — Nagle za ścianą z lewej w głębi słychać głośny płacz dziecka i krzyki matki i Justyny.*

EWA drgnęła. Szeptem.

Co to?

Za sceną słychać wrzaskliwy głos matki: A będziesz ty raz spał, ty bachorze przejęty — a masz! masz! Krzyk dziecka. W tej samej chwili wpada ze świecą Justyna, jak nieprzytomna.

EWA.

Justyno — co to?

JUSTYNA.

Proszę pani, to starsza pani tak zbiła Stasia, że jej spać nie dał, że okropność! Jeszcze dziecko dostanie konwulsyi!...

EWA z okropnym krzykiem.

A!! Wybiega na lewo. Justyna za nią — za chwilę słychać stamtąd chrapliwe, zduszone okrzyki. Cicho. Po chwili wychodzi ze swego pokoju Marek napół ubrany ze świecą w ręku.

ANDRZEJ *chce iść na lewo, spotyka Marka.*

MAREK.

Co to?... Kto krzyczał? Co się tu dzieje? To ty Andrzeju...? Co to?...

W tej samej chwili wpada z lewej Justyna, blada, bez tchu, belkocze w śmiertelnem przerażeniu.

JUSTYNA.

Proszę pana... O Maryjo, Matko Chrystusa Boga... Proszę pana!

ANDRZEJ.

Mówże! Co? *Chce biedz na lewo, odtrąca ją.*

JUSTYNA *trzęsąc się.*

Niech pan tam nie chodzi!

ANDRZEJ.

Co? co się stało?

JUSTYNA.

Pani... *Trzepie rękami, Starszą paniom... Warkoczem, poduszkami — o tak — o tak...*

W tej chwili wchodzi Ewa. Śmiertelnie blada, oczy w słup. Chwieje się, wyciąga przed siebie ręce, opiera się o ścianę. Justyna cofa się w głąb — tamci patrzą na Ewę przerażeni, nie śmiejąc postąpić kroku. Pauza.

EWA *szeptem. jak obłąkana.*

...zabiłam... trup... trup... zabiłam... o tak, o tak... Bierze w rękę warkocz i okręca go. W tej samej chwili spojrzenie jej spotyka się ze spojrzeniem Marka, który odwraca twarz, skamieniałą przerażeniem. Zrozumiała —

podnosi rękę w stronę Marka, jakgdyby się przed czymś zasłaniała lub bronila. Z okrzykiem zgrozy. Ooo!... Zasłania twarz — Marek wybiega nagle. — Andrzej stoi, jak przykuty do miejsca, patrząc na nią. Justyna, przylepiona do drzwi, żegna się krzyżem świętym.

Zasłona spada.

KONIEC.

Kraków dnia 19/VI. 1903.

